http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

GŁOWA NA KAMIENIU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

LEON CHOROMAŃSKI

GŁOWA NA KAMIENIU

WARSZAWA 1923
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

KSIĘGARNIA GDAŃSKA
A. Krawczyński
GDAŃSK, 6., Grunwaldzka 66
http://rcin.org.pl

I - 583

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

http://rcin.org.pl

S P I S N O W E L:

WIATR 1
MAŁE PĘKNIĘCIE KONWENANSU . 7
GŁOWA NA KAMIENIU . . . 25
DRZWI ZATRZAŚNIĘTE . . . 63
KSIĘŻYC 73
RUINA 85
PTAK 96
ON 103
PANI DOMU 113
KROKODYL 125
ZMIERZCH STANISŁAWA AUGUSTA 139
EUROPA 153
ORFEUSZ I EURYDYKA . . . 163
HERAKLES 177

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WIATR

Głowa na kamieniu. 1

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

...Raz i ja także siedziałem przy szybie. Wiatr huczał i wył, wydzierał się, parł i szczekał. Zaplątał się w ulicach miasta i nie mógł ulecieć. Rzucał się na wieżę, zaglądał w oczy zegarowi, badał, która godzina. A godzina była »zawsze ta sama«, albo może stokroć piękniejsza, bo miasto stało się ruchliwem jak wodospad. Chwiało się, kręciło, wirowało, lśniło... Chorągiew pochylała się to w jedną, to w drugą stronę i trzepotała, jakby mówiąc: Ulecieć! ulecieć! Przeszedł człowiek zgięty. Niósł na plecach wiązkę drzewa. Na rogu wiatr rozwiał poły jego ubrania i gwizdał przeciągle. Człowiek przystanął, zdjął czapkę. Krople potu błyszczały mu na czole. Myślałem, że przyjdzie do ubogiej izby, a wiatr będzie huczał w kominie. A może żona, kobieta z niebieskiemi oczyma, rozweseli jego serce. Bywają ludzie weseli, choć biedni. Bywają kobiety święte, niedostrzeżone przez nikogo. Zawiązują one małą wstążeczkę błękitną na włosach dzieci, zapomnianych przez wszystkich. Potem zdawało mi się, że jakaś dziewczyna, przechodząc przez plac, upadła. W myśli zamieniłem

http://rcin.org.pl

się zaraz w miłosiernego samarytanina. Jej głowę podniosłem z bruku. Spojrzała na mnie rozpalonemi oczyma! Zapytała: »Czy może mi pan powiedzieć, gdzie on jest?« I ona także drwiła z rzeczywistości! Zadawała takie pytanie człowiekowi, którego widziała po raz pierwszy. Szeptałem jej do ucha coś poważnego, lecz nie mogłem rozchmurzyć czoła ani oczu, rozpalonych smutkiem i gorączką!

Stary, poważny wiatr umie być bardzo uporczywym. Bił on w ścianę, poza którą siedziałem, krzyczał przez okno: »Zrób rachunek sumienia! Któż ty jesteś, moje dziecko. Ach, stary pajacyku, plączesz się we własnych myślach!«

A te historyjki sentymentalne! Opadają, jak komary, i gryzą do krwi! Chcą dostać się do oczu i łzy wycisnąć. Lecz nie! My nie zapłaczemy, choć wiatr bywa bardzo czuły. Umie on szepnąć imię zapomniane. Jest to dobry przyjaciel. A jeśli zrzuca na głowę gzyms i zabija, to nie jest to chyba śmierć najgorsza?

Wyszedłem na ulicę i wiatr mnie obskoczył. Skoro dobrotliwa przyroda tak nas szarpie, podwiewa i osacza ze wszystkich stron, to widocznie dlatego, że się jest dużą i poważną figurą! I oto człowiek zaczyna myśleć o sobie, oczekiwać, spodziewać się, wzdychać i pieścić się sobą. Napróżno pęd wichru w sze-

http://rcin.org.pl

rokiej ulicy wołał: »Rzeczywistość cię chwyta... Chwyć i ty ją... Chwyć! Pomyśl o dniach ponurych, o krwi rozlanej, o rozpaczy, śmierci...« Małe pokrzyki wicherków ubocznych, prześlizgujących się po szczelinach, grały jak tamburynki i śpiewały piosenki wesolutkie. I te to wiaterki robiły mnie nieskończenie sentymentalnym i gadatliwym. Mówiłem sobie: »O jak wiatr huczy! jak szemrze! jak chce porwać i unieść! Kocham wiatr! Wiatr rozpala ognisko życia! Kto kocha, tego wiatr unosi! O gdybym mógł kochać! Gdybym mógł czuć się unoszonym wysoko przez wiatr! Przysięgam, jest tylko jedna rzeczywistość: ta którą człowiek tworzy. Jeśli w tamtem oknie pas się dla mnie rozwija złocisty, to dzięki oknu, dzięki słońcu i kwiatom i jasnemu przeczystemu ogniowi i gwiazdom i mrocznej nocy i Bogu niech będą dzięki! Niech się dzieje wola Boża! Niech świat będzie piękny! Niech będzie świat szczodrobliwy. Kto myśli, że człowiek i kobieta i mała dziewczynka są inni, niż sercu oschłemu się wydają, ten jest szczęśliwy i ten posiadł prawdę. I ja — mówiłem o sobie, choć nikt mnie nie słuchał, — jestem inny, niż się wydaję. Jestem szczęśliwy i bardzo nieszczęsny. I bardzo smutny i bardzo wesoły. I bardzo zły... I dobry... Ja kocham księżyc. Białe papierki przeleciały! Wiatr prze-

http://rcin.org.pl

wiał te małe ptaszki! Poleciały ze świergotem. Dziecina zamknie je do klatki. Te małe białe ptaszki śniły się dziecku, więc trzeba, żeby się stały żywemi, żeby otworzyły dziobki i zaśpiewały nam piosenkę...

Na rogu wiatr szczeknął na mnie. Wzdrygnąłem się i wypadły mi z pod głowy te wszystkie miękkie poduszeczki, na których kołysały mnie i pieściły wiaterki sentymentalne. Zapragnąłem strojów fantastycznych, koronek i purpury na ciałach kobiet lekkomyślnych. Pragnąłem dziwnych znaków, tajemniczych porozumień, skośnych oczu, ust napiętnowanych okrucieństwem i żałością. Dusza moja krzyczała w pragnieniach! W pocałunkach ustabym poszarpał! Lecz wiatr ma dwie ciemne ręce, któremi wnet odgarnie od człowieka wszystko, co jest zbyt czerwone...

Wyszedłem nareszcie na plac, gdzie pięcioro ulic rozbiegało się w różne strony. Ujrzałem te lśniące ulice, huczące na wietrze. Każda wydała mi się niebezpieczną, żadna nie miała przyjaźni dla mnie!

Znów tysiące historyjek sentymentalnych zasnuło mi się po głowie... Lecz jam się tylko uśmiechał. Wiedziałem bowiem, że nie są to najpiękniejsze rzeczy pod słońcem...

http://rcin.org.pl

MAŁE PĘKNIĘCIE KONWENANSU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Przed laty poznałem dymisjonowanego kapitana S. Ten wysoki, smutny mężczyzna był niegdyś oficerem legjonu cudzoziemskiego i bił się w Afryce. Zachował na długo wygląd młody. Należał do ludzi zagadkowych, dla których milczenie jest stanem normalnym, a mowa czemś w rodzaju zakłócenia spokoju. Milczkowie, dokądkolwiek się zwrócą, budzą naogół niechęć lub rozczarowanie. Towarzystwo lubi gwar rozmowy i oczekuje go od każdego. Ponure i zacięte walki namiętności z obowiązkiem, gorąca żądza Boga, dążenie do wielkości rosną nieraz w atmosferze milczenia lub nawet mrukliwości. Ale cóż to obchodzi towarzystwo? Chce ono gwaru słów, spadających z języka w podskokach akrobatycznych, a tymczasem milczenie jednego z obecnych mówi: »Chcecie, żebym ja was interesował? Lecz naprzód wy mnie zainteresujcie«. Czyż może tego rodzaju dumna, zaufana w sobie powściągliwość mierzyć się z rozrzutnością człowieka, który każde swe upodobanie chce uczynić publicznem, który, obnażywszy wszelkie zakątki swego temperamentu, wywraca go

http://rcin.org.pl

jeszcze nanice i pokazuje od podszewki? Lecz niech zagrzmi głos prawdziwej poezji, która przecie nie jest niczem innem, jak życiem głębokiem i sumiennem, a przymrużone oczy i drwiący uśmiech gaduły wskażą, że nie jest to jego dziedzina, że tu się on kurczy i krztusi, że tu właśnie ścina mu się krew w żyłach.

Kapitan S. należał do ludzi milczących i do ludzi skromnych. Był jednym z tych niewielu, którym towarzystwo w drodze wyjątku wybacza ich milczenie. Zwracano się do niego z zapytaniem wprost tylko w chwilach ważnych i głowy obecnych kierowały się dyskretnie w stronę starego żołnierza, czekając, co też on raczy odpowiedzieć. Skądże taka uprzejmość i delikatność — rysy daleko rzadsze w towarzystwie, niż się wydaje etykietalnym paniom domu. Podbijała tu nawet ludzi tak roztargnionych i wysoce niewdzięcznych, jak ludzie światowi, i zjednywać umiała umysły piękność milczenia kapitana. Milczenie jego nigdy, jak się zdaje, nikomu nie ciążyło i nie wprowadzało w zakłopotanie nikogo. Brał on — a rzecz to rzadka — miły udział w życiu towarzyskiem, milcząc. Tylko dzieciak rzuca niebacznie kamieniem w cichy, głęboki staw, w którym za chwilę zacznie się przeglądać gwiaździsta wiekuistość nocy, wywołując w ten sposób na dumającej wodzie bolesne skurcze,

http://rcin.org.pl

tworzące szereg kół coraz szerszych i ginących jakby z niemym wyrzutem. Kapitan S. miał coś z piękności takiego stawu. Jego jasne włosy zachowały tonacje niemal młodzieńcze. Oczy, których kolor niebieski łączył się z odblaskami złotawemi, umieszczone głęboko w bronzie twarzy, były smutne, ale niezgaszone. Te oczy i czoło, białe i świeże, niepocięte bolesnemi, nawisłemi brózdami, które świadczą więcej o plagach i ruinie, niż o pracy myśli, wskazywały, że kapitan S. przeżeglował przez długi szereg lat, nie zaznawszy ani razu śmiertelnej klęski, po której człowiek się dźwiga, czując, że coś w jego duszy zagasło na zawsze. Był to człowiek rozważny i rozwaga, zapewne, była źródłem jego małomówności. Gdyby się urodził o dwa wieki wcześniej, zostałby pewnie mnichem, surowym dla siebie, pobłażliwszym dla innych, lecz ostatecznie zmierzającym nieustannie — wśród skał i syrenich pokus — ku cichej przystani niebios. Kapitan S. był istotą łaknącą zbawienia dla siebie i innych. Nie był to duch tragiczny, lecz raczej spostrzegający zdaleka tragiczność i zawracający w stronę, gdzie cicho! W młodości, kiedy człowiek najtężej walczy i łamie się z sobą, kapitan S., może przerażony rysem ostrożności w swym charakterze, został wojskowym, aby w ogniu bitew przetopić siebie na

http://rcin.org.pl

zuchwalszego człowieka. Mimo to pozostał przez całe życie widzem tylko i słuchaczem, wprawdzie bardzo miłym i orzeźwiającym swą obecnością innych, lecz niczem więcej. Dobre zalety jego natury sprawiły, że nie opadły go małe, lecz uporczywe namiętności, jak chciwość czy próżność. Dom kapitana w miasteczku K. słynął z ogrodu, z owoców, z pięknych gatunków róż i z dobroczynnej, gorliwie unikającej rozgłosu ręki właściciela.

Pomiędzy mną a kapitanem zawiązała się przyjaźń powściągliwa, lecz pełna szacunku i uwagi z mojej strony. Dwa razy podczas tych kilku miesięcy, kiedy spotykałem kapitana, widziałem go wzruszonym. Tu wspomnę o jednym tylko z tych dwu przypadków.

Było to na wsi o kilka wiorst od miasta K., gdzie mieszkał stary ekswojskowy. Bywaliśmy z kapitanem w domu państwa Z., gdzie starano się o gości dla pewnych powodów, o których ci nie wiedzieli lub przynajmniej wiedzieli niewiele. Pani Z. w owych czasach miała już drugiego męża. Cała jej pierwsza młodość była jednem długiem rozkochaniem się w sobie. Piękność jej dosięgła wówczas najwspanialszego rozkwitu — tego niebezpiecznego apogeum, po którem następuje fatalny zmierzch. A pani Z. nie chciała zmierzchu! Kiedy obracała się profilem, myślałem, że po-

http://rcin.org.pl

winna żyć wieki zaklęta w marmurze. Nie powinny zginąć te usta ani nos o ruchomych, rozchylonych nieco nozdrzach! Była to prawdziwa Hero — wysoka, bujna, o złotawej płci i ramionach. Myślało się przy niej o tych rzadkich wypadkach, kiedy urody kobiecej nie zepsuje żaden rys chybiony. Wielka ambicja kazała jej wyrokować o wszystkiem z niezachwianą pewnością siebie, z którą jej było, zresztą, bardzo do twarzy. Kto wie, czy nie ambicja i pycha zdrowego ciała więcej, niż serce spragnione, zawyrokowały, że »ostatni rok« pani Z. ma być rokiem majestatycznego triumfu, porą, kiedy doprowadzi ona do ekstazy »mężczyznę« i rozciągnie pokonanego, zwalonego huraganem u swych stóp! I te stopy postawi mu na głowie!

Ofiarą tego pysznego zamachu był — trzeba to wyznać ku większej czci pani Z.! — własny jej mąż! (Takie rzeczy zdarzają się jeszcze na prowincji!) Kochanek, ukrywanie się, kłamstwo — wszystko to tę polską Herę napawało obrzydzeniem. Nie! właśnie miłość legalna, ale jaka! Niech zaćmi zachwyt, utkany z żądzy i szacunku, dzięki któremu przed sześciu laty pan Z. oświadczył się o jej rękę. Gdy zamiar uwiedzenia pana Z. po raz wtóry zaświtał w umyśle jego pięknej żony, zakwitła ona, zaiste, olśniewającą młodością, a włosy

http://rcin.org.pl

jej nabrały blasku, jak gdyby słońce zajaśniało w jej głowie. Plan był zawiły, prowadzony ze zdumiewającą uporczywością i jakby w natchnieniu. Co dziś było zamiarem, jutro dzięki bujnym żywiołom tej pani despotycznej śpiewało już w marzeniu i kipiało we krwi. Zacząć od wiosny, od lekkich złotawych gałązek, od Słowackiego (Polki w pierwszych stadjach miłości chętnie posługują się Słowackim) i kroczyć coraz dalej, głębiej — aż w zapamiętanie, w ogień, w piekło! (Niechże ten skromny w istocie swej najgłębszej człowiek choć raz w życiu ujrzy prawdziwy wybuch Wezuwiusza — i to nie ruszając się z Polski!) Ach, co za galerja cudowna i nęcąca spojrzeń, uśmiechów, gestów, obietnic, zalotów, parskania niemal zwierzęcego, dreszczów — ach! nawet jęków! Wszystko to oddawać, płonąć, a widzieć zarazem chłodnemi, ciekawemi oczyma! Być gorącą w ramionach, a chłodną mózgiem! Pani Z. przewidywała z rozkoszą, że pewnego dnia pan Z. zawaha się, czy zejść z nią aż na dno Tartaru! Ale ona zmieni go w Orfeusza, szukającego aż w piekle złotoramiennej Eurydyki.

Biedny jej mąż uległ oczarowany i podbity. Lecz się okazał zbyt słabym, aby znieść, śmiejąc się zdrowo i radośnie, nieustanne wzbijanie się pod obłoki, wśród drzew pa-

http://rcin.org.pl

chnącego raju i zapadanie w sny wyczerpania. Genjalna kokieterja tej nowożytnej nietylko Hery, lecz i Circe, zachwiała zdrowiem duchowem tego niezbyt mądrego Ulissesa. W pewnych dniach w tygodniu pan Z. bywał paziem, noszącym w dłoniach wzruszonych wspaniały tren jej sukni, a nawet Sardanapalem, mającym zamiar spłonąć z nią na wysokim stosie. Pani Z. umiała go uczynić bluźniercą, wydającym zdławionym głosem okrzyki na cześć świętej urody jej ciała! Lecz bywały dni, kiedy pan Z. stawał się jej katem. Zwolna coraz widoczniej występowały objawy obłędu, w postaci ataków ponurej zazdrości, której się podkopany organizm oprzeć nie umiał. Wtedy nieszczęśliwy błądził po ogrodzie w posępnem zamyśleniu, skradał się do okien swej wiernej, a mimo to posądzanej żony, a jego chore, halucynujące ucho słyszało szepty i odgłosy pocałunków. Gwałtowne sceny zazdrości, podpatrywanie, niedorzeczne wyrzuty i groźby — wszystko to krzyżowało zamiary pani Z., powstawało wbrew jej woli, mąciło godziny triumfu. Zrywające się w »kochanku« obłąkanie dręczyło okrutnie tę dyszącą żądzą hołdów, dojrzałą i bujną kobietę. Jej logiczna natura wzdrygała się na widok ciemnego, głuchego na zaklęcia obłędu, na widok zazdrości, podsycanej nie z zewnątrz, lecz z niedostępnych

http://rcin.org.pl

źródeł wewnętrznych, na widok namiętności, niewywołanej dobrowolnie i błogosławionej, lecz występującej samozwańczo, niby ciemne zwierzę, wypełzające z pieczary, gotowe rzucić się na miłość pożądaną i zagryźć ją... Lecz mimo wszystko pani Z. nie myślała, że manja męża jest chorobą. Sądziła, że jest to raczej bunt, który można i należy zdławić, że to jedno z tych głupstw opłakanych, które się lęgną po rozwichrzonych głowach męskich!

Kapitan S. i wielu innych gości nie podejrzewali zapewne, że zapraszano ich poto, aby byli rodzajem eliksiru, uśmierzającego paroksyzmy niedorzecznej zazdrości. (Ja tylko już wtedy wiedziałem niejedno, a później dowiedziałem się wszystkiego — z ust najpewniejszych!) Ilekroć ponure usposobienie pana Z. zwiastowało nadciąganie burzliwej manji, jego żona rozsyłała czemprędzej posłańców konnych, spraszając gości. Dawny bon vivant i hulaka nietylko źle znosił samotność w ramionach złocistych, ale wogóle źle znosił wszelką samotność. Gwar rozmowy i szelest sukien licznych kobiet wprawiał go w rodzaj ceremonjalnego odurzenia. Bokobrody pana Z. lśniły uroczyście, gdy witał gości, a ręka się stawała miła w dotknięciu, jak aksamit. Opowiadał anegdotki ze smakiem i apetytem żarłoka. Jego rozmowy przy stole i podczas

http://rcin.org.pl

przechadzek konwencjonalnych z gośćmi po parku podobne były do prestidigitatorskiego rozwijania zwojów lśniącej tkaniny przez zręcznego i biegłego w swym zawodzie subjekta. Kobiety, którym tak niewiele potrzeba, aby się uczuły olśnionemi, słuchiwały pana Z. z uśmiechem błądzącym po wargach i z przymrużonemi oczyma. Pani Z. widziała ten uśmiech i to przymrużanie oczu, lecz nigdy nie raczyła być zazdrosną. Kiedy, unosząc nieco tren sukni, ze szmerem przechodziła z miejsca na miejsce, uśmiechnięta arcysłodko, myślałem, że wraz z nią przenosi się z miejsca na miejsce amfora kipiącego fałszu i udawania. Ręczę, że przechodząc przez salon, kiedy był pusty, wzdychała z rozkoszną ulgą, a słysząc zdala gwar gości, zgrzytała białemi zębami, myśląc, że niedorzeczna namiętność pozbawia ją rozkoszy sam na sam i nie daje napawać się coraz to innemi stadjami miłości i... coraz bliższym oddechem Hadesu... Złe błyski, zapalające się na mgnienie w oczach pani Z. na widok każdej młodej pary, szepczącej gdzieś przy firance, mówiły, że pani domu w obrębie swego dworu tylko sobie pozwalała na zbytek i przepych miłości...

Pewnego dnia przepełniła się czara cierpliwości tej kobiety. Jej srogość, którą uśmierzała bezgraniczna dobroć i uwielbienie jej męża,

http://rcin.org.pl
IBL

w chwilach, kiedy mózg jego działał normalnie, zakipiała nareszcie! Mąż z sinemi plamami na twarzy, z oczyma błędnemi i postawionemi słupem, z owym potem złowrogim, który, jak trucizna Lokusty, ocieka z czoła, zbróżdżonego wzdętemi żyłami, wykrztusił obelgę, że ona zdradza go... z ekonomem! Cios był zbyt brutalny! Pani Z., łudząca się uparcie i nie przypuszczająca nawet, w jakim stopniu ten człowiek należy już raczej do sanatorjum, niż do salonu i do niej, rzuciła się jak pantera. Po chwili piękna waza, strącona z konsoli, leżała na posadzce w skorupach, a pan Z. uczuł trzask i palenie policzka, wymierzonego mściwą a tylekroć pieszczoną dłonią. Potem spadł grad obelg, ociekających pianą gniewu! Ach głupiec! ach, idjota! ach niedołęga, który łamie jej życie! Ach, ślepiec, niewidzący, jak ona pogardza zdradą i fałszem, jak wstrętnymi są dla niej inni mężczyźni. Była wierna, święcie, niepokalanie, szczytnie wierna! Ale że ją posądza — dobrze! będzie miał, czego chce! Codziennie wypłoszy z jej sypialni gacha, jeśli będzie umiał go wypatrzyć. Ciosy, wymierzane z początku zajadle, obelgi, zatapiane w duszę, jak ostre zęby w nagie ciało, zwolna drobniały i zamieniały się w dotkliwe ukłucia, w gryzienie śpiczastemi kiełkami. Kimże jest pan Z.? Tylko jej mę-

http://rcin.org.pl

żem. Czyż nie widzi, że nawet służba słucha go i poważa jedynie dzięki niej. Czyż ta zbrodnicza podejrzliwość nie płynie ze słabości, która nie śmie uwierzyć, że coś posiadła mocno, bo się nie czuje niczego godną? I ostatecznie ma słuszność, nie jest bowiem jej godzien — o nie, po stokroć nie!

Pan Z. słuchał potoku zniewag i okrzyków namiętnych nieruchomy, ze spuszczoną głową. Wreszcie padł na kolana i w skruszonej postawie winowajcy usiłował bezładnemi rękoma objąć i przebłagać stopy miotającej się gniewnie kobiety. Pani Z. należała do rzędu dość rzadkich kobiet, których urodę gniew rozżarza i doprowadza do olśniewającej potęgi. Wiedziała o tem, więc się miotała dłużej, niż wypadało ze względu na skruchę winowajcy. Wyszła wreszcie, odepchnąwszy ręce wyciągnięte błagalnie, a pan Z. powstał i otrzepawszy kurz z kolan, uczuł się spokojniejszym. W ogniu jej gniewu stopniała groza, że mu inny wydrze tę, która go wiodła rozkoszą ku prędszej zgubie. W owej chwili nie widział tej zguby. Rozproszone podejrzenia pozostawiły woń lubieżną, którą wciągał pełnemi nozdrzami. Uczuł się pokrzepionym zniewagami i silnym. Zarzucił strzelbę na plecy i nucąc aryjkę operową, wyruszył miedzą w pole.

Tymczasem pani Z. doszła do swego po-

http://rcin.org.pl

koju i tu upadła zemdlona. Dopiero teraz — wraz z utratą przytomności — trysnęły łzy. Zaniepokojona służba, nie dając w pierwszej chwili znać panu, przeniosła chorą do łóżka. W milczeniu, jakby zatopiona w sobie, jakby rozpamiętywająca życie przeszłe, przeleżała pani Z. prawie do zmierzchu. Głaskała po głowie dobrotliwie męża zaniepokojonego, skruszonego jeszcze bardziej, bliskiego czarnej rozpaczy. Ale tego wieczoru mieli być goście. Pani Z. nie chce słyszeć o tem, by pozostać w łóżku. Przeciwnie, wstaje, ubiera się w najpiękniejszą suknię i wychodzi, jaśniejąc młodością, wdziękiem, urodą, podnieconą i dziwnie olśniewająco świeżą. Jej oczy promienieją, usta są purpurowe, ruchy giętkie i pewne. Przy stole, gdzie zasiadło dwanaście osób, oddawna, może od czasu, jak stoi dwór w X., nie widziano pani domu tak uroczej, tak uprzedzającej dla gości, tak biegłej w prowadzeniu niewymuszonej rozmowy. Przy deserze cały stół wraz z gośćmi pląsa (nurza się w rozkoszy powściągliwego upojenia!), a bokobrody pana Z. lśnią uroczyście i miękko, jak runo na owcy, która otrzymała złoty medal na wystawie przemysłowo-rolniczej. Nikt nie spostrzega, że głowa pani Z. wstrząsnęła się lekko, jakby mówiąc: nie! nie! — jakiejś myśli napastliwej. Jej wielkie oczy zamknęły się na chwilę, może

http://rcin.org.pl

aby ukryć falę cierpienia, która się w nich podniosła. Nagle wśród grzecznej i lekkiej rozmowy, wśród żwawego dworowania padają słowa z ust pani Z., które brzmią wcale inaczej. Trzymając w wysmukłych palcach kieliszek z winem, zwraca się ona do kapitana:

— Kapitanie, wszak byłeś na wojnie i zaglądałeś w oczy śmierci. Cóż nam powiesz o niej?

A gdy kapitan S., jako człowiek milczący z natury, waha się i czeka na dalsze zapytania, pani Z., ciągnie dalej — a twarz jej nabiera uroczystej powagi posągu, który mówi:

— Nie myślę teraz o śmierci naturalnej... z wyczerpania lub starości. Nie myślę również o samobójstwie. Ale — jak sądzisz, kapitanie, czy można zabić człowieka, którego — tu pani Z. się zatrzymała, jakby szukając odpowiedniego wyrazu, aż rzekła — któremu oddało się serce. Pomyśl, kapitanie... ten człowiek obraził nas... zadał śmierć naszej głębokiej, drogiej ufności... sponiewierał gorącą nadzieję naszą... kopnięciem nogi obalił marzenie... Wiemy, że wyzwoli nas tylko śmierć, a sami nie chcemy umierać, bo nie jesteśmy dość pokorni, aby ustępować z drogi winowajcy... Powiedz — tu uśmiech przerażająco piękny i głęboki! — czy nie zabiłbyś takiego człowieka, kapitanie?

http://rcin.org.pl

Kapitan S., ku któremu zwróciły się wszystkie głowy, zdziwione nieco, że lekka, błyskotliwa rozmowa przybrała kierunek tak ponury, i wietrzące w tem jakąś ukrytą sensację, jak hieny wietrzą padlinę — osadził się głębiej w krześle, jak jeździec, ruszający w dalszą drogę, osadza się w siodle, i walcząc z widocznem wzruszeniem, tem dziwniejszem, że dla innych gości był to tylko epizod niespodziewany i rozciekawiający, odpowiedział:

— Nigdy nikt nie zburzył i nie sponiewierał moich nadziei. Może dlatego, że ustępowałem z drogi ludziom i wypadkom. Pewnego dnia jednak los i mnie zesłał pokusę.

Siedząc w okopie pod forteczką, otrzymałem wiadomość, że przyjaciel mój, jedyny przyjaciel mej młodości — dodał kapitan z naciskiem — zginął podczas wycieczki nocnej.

Postanowiłem pomścić jego śmierć. Wydałem rozkaz, aby mi dano znać natychmiast, skoro tylko który kabyl wytknie głowę z poza szańca.

Po kilku godzinach kapral zameldował, że widać wroga i można strzelać.

Podano mi nabity karabin. Zacząłem mierzyć. Przed strzałem spojrzałem przez lunetę.

Kabylowie modlili się z podniesionemi rękoma.

Mierzyłem z karabinu... Chciałem pomścić śmierć przyjaciela. Ale... przestałem widzieć

http://rcin.org.pl

wroga. Przede mną wzniosły się nasze wieże chrześcijańskie... krzyże jaśniejące na szczytach... rozkołysane dzwony... I dopiero poza tem jakby kilka błahych stworzeń, błagających Istotę wiekuistą, aby dźwignęła ich z nędzy i wzniosła ku Sobie.

Oddałem karabin zdziwionemu kapralowi. Nie mogłem strzelać do ludzi, którzy się modlą.

Ilekroć wspomniałem później tę chwilę, dziękowałem Bogu za tę zasłonę z wież i krzyżów i żem wówczas nie strzelał. Moja kula zabiłaby najdroższe uczucie młodości: przyjaźń do poległego druha...

I zwracając się bezpośrednio do pani domu, która słuchała go z oczyma roziskrzonemi zdumieniem, niecierpliwością, a może wzgardą, kapitan niemal wyszeptał:

— A gdybym spotkał takiego człowieka, o jakim mówiła pani, to nie zabiłbym go, bo jako człowiek bardzo cichy z pewnością i w nim słyszałbym szemranie wiecznej modlitwy.

Kapitan S. umilkł i opuścił głowę, jakby zawstydzony...

Kobiety zakryły oczy rzęsami i zamyśliły się. Mężczyźni również przetrawiali wątpliwości, czy kapitan S. postąpił słusznie, czy nie. Milczenie przerwał pan domu:

http://rcin.org.pl

— Moja duszko — rzekł do żony, która znów przybrała minę damy uprzejmej, lecz konwencjonalnej, nienawiedzanej nigdy przez pokusy i ponure myśli — czy Ambrozjo (tak pan Z. nazywał stangreta swego, Macieja) nie upił się dziś na wieczór? Jutro wyruszam w drogę — będę potrzebował Ambrozja... Jadę do L..., do prezesa dyrekcji szczegółowej. Tak... A więc jutro o tej porze mniej więcej (tu pan Z. spojrzał dyskretnie na zegarek) będę sobie siedział z prezesem. Będziemy palili wonne cygara. Skąd on je bierze? Nie wiem, ale są to najdoskonalsze cygara, jakich dostać można w okolicy.

http://rcin.org.pl

GŁOWA NA KAMIENIU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I

Zaprawdę, nikt nie ma w stopniu wyższym prawa do naszego szacunku, niż ten, kto posiada popęd i siłę do sprawiedliwości. Fr. Nietzsche.

Już dużo wody upłynęło od owych czasów, kiedy na rogach ulic i placach miasta Y., w którem »wielki park szeleści na wietrze«, zjawiała się dziewczyna bezdomna, o oczach, w których ział blady smutek lub bledsza jeszcze apatja. Każda noc mroźna groziła nieszczęśliwej uśpieniem na zawsze. Jako dziecko wzrastała ona o kilka mil od Y. w miasteczku S. Ojciec jej, bednarz, po śmierci żony pojął drugą — babę grubą i złą. Pił zawsze, a na starość począł pić naumór. Karolina — tak bowiem nazywała się wykolejona — uciekła z pod pięści macochy i zgrzytu jej zębów. Miała lat szesnaście, kiedy po raz pierwszy stanęła na rynku w Y. Wyszła z wielkiej karety zielonej, zakurzonej od drogi i rozejrzawszy się dookoła uśmiechnęła się: »Jak tu ładnie — szepnęła: Tu będzie mi dobrze«. Znalazła pracę i zacnych ludzi. Odtąd lała łzy tylko na myśl o »nieszczęśliwym« ojcu i sio-

http://rcin.org.pl

strach, które zostały w S. Ulubioną jej rozrywką było pisywanie listów do sióstr i ojca. Sama pisać nie umiała, ale dyktowała z zapałem i gorliwością. Atoli nieszczęście już się skradało. Posiadała urodę zachwycającą nie tyle regularnością rysów, ile kipiącą bujnością życia, bogactwem sił, zda się, niewyczerpanych. Dom, w którym mieszkała, brzmiał cały jej piosenkami. W jej głosie i śmiechu było coś budzącego dreszcz rozkoszy w mężczyznach. Na jej widok rozpogadzały się twarze ludzi biednych, steranych, nieszczęśliwych. Ruchy miała tak harmonijne, że niepodobna było przejść obok i nie obejrzeć się za nią. Ta bujność urody sprawiła, że wkrótce dokoła niej rozpościerać się poczęła sieć, w którą łowcy jęli ją zapędzać. Broniła się przed natarczywością tych łowców w sposób zaiste dziecinny. Nieraz widząc, że zbliża się mężczyzna, ścigający ją spojrzeniem i obcesowemi słowy, kryła się gdzieś za bramą lub za parkanem, tłumiąc oddech, jak dziecko które gra w chowanki. Niestety, łowcy sprzymierzyli się z lodowatą chytrością stręczycielek. Niebawem dowiedziano się, że to dziecko tak świeże i naiwne posiada wadę, stokroć straszliwszą od pięty Achillesowej. Mogła być zdrową, szczęśliwą i uszczęśliwiającą, lecz pod warunkiem, że nigdy kropla alkoholu nie spa-

http://rcin.org.pl

rzy jej języka. Alkohol zmieniał ją w szalejącą menadę, w bachantkę nieobliczalną, w zwierzę o gorejących dziko oczach. Jakaż ponętna zdobycz dla don Juanów małego miasta, znudzonych cnotą, ciszą, jednostajnością żywota wśród wiecznie tych samych głuchych uliczek, wśród placyków napół zarosłych trawą, gdzie pobicie się dwóch czupurnych kogutów bywa już nie lada e w e n e m e n t e m!

Wezwawszy na pomoc alkohol, dokonano w ciągu lat kilku zniszczenia nieszczęśliwej. Jej dusza zwolna stoczyła się w ciemność, w której tu i owdzie zapalały się niekiedy światła o blasku, godnym podziwu. Naprzykład wówczas, nie nienawidziła jeszcze nikogo, a o tych, którzy kiedykolwiek podali jej rękę pomocną, wyrażała się z zapałem, świadczącym dotąd, jak dużo pięknego ognia było w tej naturze, skazanej na niedolę i zagładę. Niekiedy obalona na ziemię przez alkohol wyrzucała ze zmąconego mózgu krótkie zdania: »Wszystko mi zabrali...« »Cóżem im winna...« »Mogli mi byli przebaczyć...« (to jest: nie nagabywać mnie i nie upędzać się za mną z alkoholem). Alkohol, tak stosunkowo łaskawy dla innych, dla niej okazał się jadowitym, jak wydzieliny najsroższych bakteryj. Filozofując z lekka, poczęła tłumaczyć swój rozstrój w taki mniej więcej sposób: »Ja je-

http://rcin.org.pl

stem potrzebna, żeby ludzie widzieli, jak żyć się nie godzi«. W jej duszę wpełzała zwolna ciemna niebezpieczna pokora istoty złamanej. Najsroższe razy i policzki wydawać się jej poczęły czemś słusznem i sprawiedliwem. Żyła dla alkoholu. Z frenetycznem uniesieniem przytykała szyjkę butelki do warg, spieczonych żarem nieugaszonym.

Pewnego wieczoru Karolina zastukała do drzwi ślusarza. Nazywał się Grzegorz Leński. Był smagły, o włosach płowych a czole białem. Poruszał miechem, rozżarzając ognisko, kiedy weszła nieszczęśliwa.

Pochyliła głowy, szepnęła:

— Dobry wieczór. Przepraszam pana. Prosiłabym o szklankę wody.

— Dobrze — rzekł Grzegorz. — Ale mów mi ty — po dawnemu. Siadaj.

Strzepnął z ławki trochę opiłków. Wskazał jej miejsce.

Znali się od dziecka. Grzegorz również urodził się i wychował w S. Całemi dniami bawili się za dzieciństwa na błoniach za miastem. Pasali razem kozy. Grzegorz jej o tem przypomniał. I ona zwolna się rozgadała.

— Mam już dosyć tego wszystkiego — mówiła. — Chciałabym iść, iść, iść. I nigdy już nie wrócić. O, ja pójdę, ja pójdę. »Pokażę wszystkim, że jeszcze nie jestem taka, jak im

http://rcin.org.pl

się zdaje«. Chciała się wyskarżyć, że wszyscy, którzy dawniej tak chciwie szukali jej towarzystwa, teraz odwrócili się od niej. Albo świecą jej w oczy zgorszeniem i pogardą — teraz, kiedy noga się jej »powinęła«, kiedy »łeb boli wściekle« i oczy ma zagrożone ślepotą. »Tak, tak, oczy mam chore. »Była u doktora. Przepisał wodę i kazał siedzieć w ciemnym pokoju. A skąd ona weźmie ciemnego pokoju?

— A szpital — spytał Grzegorz.

W szpitalu jej nie przyjęto.

— Dlaczego?

— A, choroba ich tam wie dlaczego...

Grzegorz rzekł:

— Nie martw się. Weźmiemy się oboje do roboty. Ciemny pokój dla ciebie będzie.

Narysował na podłodze czworokąt. Tu się drzwi wytnie. Schody się przeprowadzi. »Widzisz, moja izba na wysokiem miejscu. Pod nią — piach. Piach się wygarnie, wyniesie. Zrobi się ciemny pokój dla ciebie. Ściany się oszaluje deskami. Znam się na ciesiołce. Podłogę się ułoży. Będzie ci pachniało żywicą. Będziesz siedziała za dnia. Ale piach trzeba wybrać. Będziemy wybierać nocą. W dzień nie można. Ludzie zobaczą. Rozgadają. Wentylację ci zrobię. Elektryczność przeprowadzę. Będziesz miała stół, krzesło, tapczan. Pościel się

http://rcin.org.pl

też znajdzie. Oczy twe wyzdrowieją. Uspokoisz się. Chcesz, Karciu?

Mówił do niej tak przyjaźnie, że ukryty gdzieś głęboko w obrażonej duszy i oddawna nie pokazywany ludziom blady chwiejny cień dawnego szczęśliwego uśmiechu ukazał się na jej twarzy.

Pracowali długo nocami. Zgięci we dwoje wynosili wory z piaskiem. Rozsypywali go po podwórzu, pod parkanem, parząc sobie ręce o pokrzywy. Karolina siedziała w ukryciu dwa miesiące. Wyszła spokojniejsza, z oczyma uzdrowionemi.

— Muszę stąd wyjechać — rzekła wkrótce potem... Chcę być gdzieś daleko... Tu nie mogę. Tu w głowie mi się mąci. Tu źli ludzie nie dadzą mi spokoju. Trzeba mi w świat.

Grzegorz pomógł jej wyruszyć w drogę. Pożegnała go słowami: — Nie zapomnę, coś zrobił dla mnie. Będę się za ciebie modliła.

Po jej wyjeździe Grzegorz pomyślał: — Tam, na dół przeniosę książki. Zbiję półki i urządzę sobie bibljotekę. W upały — tam chłodno.

Miał sporo książek. Czytał zapamiętale. Był jednym z tych, dla których książka jest tworem żywym, tajemniczym i wzruszającym.

http://rcin.org.pl

II.

W owych czasach pierwszą osobą w Y. był »piękny gubernator« — mężczyzna urody niezwykłej, wysoki, wspaniały, o włosach bujnych, przyprószonych już srebrną siwizną. Z jego twarzy biła powaga i trochę melancholji, ale z tych łagodnych wykwintnych melancholij, które nadają twarzy urodziwej piętno dostojnego zadumania. Uchodził za obrońcę i przyjaciela Polski. Czy słusznie — rzecz trudna do sprawdzenia. Jednak mieszkańcy Y. podawali sobie od ucha do ucha: — »Nasz gubernator nie taki, jak inni gubernatorzy. On nas broni«. Od czego? Na dobre nikt nie wiedział, ale »on nas broni« krążyło po Y. Mówiono, że Fan-Fan (tak pieszczotliwie nazywano gubernatora) raz rzekł: »Jakże chciałbym pojechać do Krakowa i tam zobaczyć, jak wy się sami rządzicie«. Fan-Fan popierał gorliwie teatr w Y., ukazując się w loży niemal codziennie, jeżeli nie na całej sztuce, to choć na jednym akcie. Jego zainteresowanie się teatralnym personelem damskim było jak najżarliwsze. Nie wahał się odwozić własnym powozem gwiazdy dramatu w Y. do jej mieszkania. (I trzeba było widzieć, jak wysoce dostojne, a nawet jakby cierpiące w głębi ducha miny mieli przytem aktorka i dygnitarz

http://rcin.org.pl

rządowy!) Piękny gubernator wpływał nawet na wybór sztuk. Dzięki niemu »Orfeusza w Piekle« grano częściej, niż inne operetki. W Y. mawiano: »nasz Fan-Fan«, a kiedy przyjezdny człowiek, niewtajemniczony, pytał: »Cóż to za Fan-Fan?« — oho! ho! szykowano się zazwyczaj wygłosić coś bardzo entuzjastycznego, lecz przypomniawszy sobie w porę, że Fan-Fan jest, bądź co bądź, »władzą rosyjską« poprzestawano tylko na westchnieniu. Kiedy do Y. zjechał kinematograf — wówczas jeszcze wędrowny i rzecz wielce rarytna, Fan-Fan dał dowód zaufania, zapraszając kilku dostojników rosyjskich i kilku dostojniejszych Polaków na wielce sekretny i poufny pokaz w godzinach popołudniowych. Z tego pokazu grono wtajemniczonych wyszło z nosami błyszczącemi filuterną jaskrawością, a niektórzy zwilżali przyschłe wargi czerwonemi, jak mak polny językami. Raz redaktor miejscowej gazety polskiej (bo była i rosyjska »Y-j Listok«), dobrawszy sobie dla otuchy kilku obywateli, poszedł do gubernatora poskarżyć się na bezmyślną srogość miejscowej cenzury — srogość tem przykrzejszą, że »Y-j Listok« korzystał z cenzury o wiele łaskawszej. Gubernator przyjął skarżących się z uprzejmością i słodyczą. — »Moi panowie — rzekł takim tonem, jakby chciał rzec: »Moje najukochańsze dzieciaki — nie

http://rcin.org.pl

dziwcie się temu. Wiecie, jak oczerniają mnie przed Warszawą. Jestem dla nich solą w oku. Pewne sfery niezadowolone są z mojej polityki względem was. A więc, czy warto pisać o tem, że w kościele św. Mikołaja podczas nabożeństwa zapaliły się firanki? Czy się nie domyślacie, co z tej notatki zrobiliby moi wrogowie? Że w Y-ej gubernji świątynie boże płoną. Tak, panowie, jedna po drugiej płoną. Tak napiszą i architekturę płonących świątyń obrazowo przedstawią; i architrawy tam będą, i rozety i pilastry. Albo o tym złamanym mostku? Poco pisać? Ja wiem, gdzie jaki mostek złamany. Ja czuwam nad wszystkiemi mostami i mostkami w gubernji (i przy każdym chciałbym stać, jak archanioł Michał z mieczem ognistym!) Ale, kiedy wrogowie moi, którzy są również waszymi wrogami, przeczytają o złamanym mostku, to zaraz krzykną na całe państwo, że w Y-ej gubernji szosy w dziurach i kałużach, a mosty codzień z trzaskiem się walą. Tak, panowie. Ja czuwam nad wami i za was. Według mego zdania, którego zresztą nikomu nie narzucam, w gazecie wartoby dawać więcej artykułów z dziedziny botaniki i mineralogji. Prócz tego niema w niej feljetonu powieściowego. A dlaczego? Obywatel lubi feljeton. Oto macie ostatnią powieść George'a Ohneta. Warto przetłumaczyć. Mój

http://rcin.org.pl

ulubiony pisarz. Rzecz piękna. I wam się podoba. Ręczę za to.«

Obywatele, którzy przyszli reformować cenzurę, odeszli, unosząc powieść Jerzego Ohneta. A kiedy zajrzeli do środka książki, znaleźli w niej historję mężczyzny urodziwego, lecz już na schyłku karjery romansowej. Słowem z książki wyskoczył piękny Fan-Fan i... rzucił się im na szyję. Powieść w odcinku miała w Y. duże powodzenie.

Byli wprawdzie ludzie, którzy widzieli w gubernatorze tylko sprytnego gracza i szczwanego lisa, lecz i oni, parsknąwszy kilku djatrybami, przepojonemi szyderstwem, machali ręką i urywali. Fan-Fan prawił zręczne madrygały i prószył słodkiemi komplementami. Cóż więc dziwnego, że damy mówiły: »On przypomina tę piękną, nam z romansów już tylko znaną epokę, kiedy mężczyzna miał jeszcze czas, chęć i żar wewnętrzny do uwielbiania nas bezgranicznie«. Skaptowawszy sobie damy, Fan-Fan potrafił zahamować w stosunku do siebie nieznośne plotkarstwo prowincjonalne. Mawiano o nim: teraz Fan-Fan kocha się w aktorce X., ale nie dodawano złośliwych komentarzy. Taką potęgą jest piękno postawy i krasa bujnych srebrzystych włosów! Raz złośliwy adwokat B., słuchając pochwał dla Fan-Fana, nie wytrzymał i krzy-

http://rcin.org.pl

knął: — Ależ pani... Fan-Fan nie jest orłem! Okrzyknięta w ten sposób dama odparła: — Ale jest lwem! — Co więcej, nie tylko tak powiedziała, ale poczęła ściskać stojącą obok znajomą »lubieżnie pogrążając — tak opowiadał później adwokat B.— białe wypieszczone ręce w puszystem futrze, które w uniesieniu brała za grzywę Lwa-Fan-Fana!« Lwy w Y. były zwierzyną tak niesłychanie rzadką, że łowczynie na widok okazu tak pięknego, jak lew-Fan-Fan, mimowoli promieniowały ekstatycznie.

Kiedy pani Z., po śmierci drugiego męża w domu dla obłąkanych, osiadła w Y., zaczęto mówić: teraz Fan-Fan kocha się w pani Z. Doprawdy, dzięki właśnie temu p. Z. stała się niemal bez walki drugą po gubernatorze osobą w mieście. Oboje—to jest gubernator i piękna wdowa — mieszkali nader blisko od siebie. Front pałacu gubernatorskiego wychodził na ogród publiczny, a weranda domu, gdzie zamieszkała pani Z., też wychodziła na ów ogród. Sąsiedzi wkrótce się porozumieli. Podobno widywano ich razem w późne wieczory księżycowe. Błądzili alejami. Byli nawet tacy, którzy zaręczali, że Fan-Fan, krocząc pod rękę z panią Z., wzdychał. Na tych westchnieniach budowano pewne nadzieje... polityczne. Gubernator często bywa w Petersburgu... roz-

http://rcin.org.pl

mowy z cesarzem... niepodobna, żeby coś z wpływów pani Z. nie odezwało się błogiem echem nad Newą. Ho, ho — w chwilach, zaróżowionych optymizmem, oczekiwano nawet... autonomji! Panią Z. nie spotkała nigdy najmniejsza szykana z tego powodu, że jest »wybranką« gubernatora. Nie nazywano jej nigdy »kochanką«, a tembardziej »utrzymanką«, którą, zresztą, nie była. Nazywano ją »wybranką«, a pewna dama, lubiąca podczas majówek zdobić krzyże przydrożne kwiatami, mawiała: »Beatrycze naszego Apollina«. Ludzie rozważni i mądrzy, gdyż i tacy byli w Y. w owym czasie, na wspomnienie pięknej wdowy machali niecierpliwie ręką, lecz nie zgrzytali zębami i nie łżyli jej. Tu i owdzie — w kołach damskich — szeptano, że pani Z. odgrywa rolę nieco przypominającą rolę pani Walewskiej. »Na szczęście dla niej — dodawano z westchnieniem — nasz Fan-Fan piękniejszy od Małego Kaprala«. — »A na szczęście dla nas — zrywały się serca egzaltowane — szlachetniejszy«. Pani Z. wiedziała o tych szeptach i była zadowolona. Nareszcie zajęła stanowisko godne swej urody i... talentu (Pani Z. miała się za nieomylną i utalentowaną, choć nigdy nie zajmowała się sztuką). Po śmierci dżentelmena (to jest drugiego męża) piękna wdowa odetchnęła. Skończyły się sceny za-

http://rcin.org.pl

zdrości, wybuchy niedorzeczne, które mogły zniszczyć jej urodę, sprowadzając rozlanie się żółci lub zaburzenia w wątrobie. Z Fan-Fanem pani Z. porozumiała się szybko. Gubernator w owym czasie bardzo potrzebował takiej natury, jak ona. Od niedawna, o zmierzchach począł się czuć niedobrze i dziwnie, aż sam się zdumiewał. Opadał go ponury smutek i myśl o latach młodzieńczych. Pierwszy mech nad wargą, korpus Paziów, świetne grono kolegów... »Jacy my wszyscy — myślał — byliśmy wtedy niedokończeni. Ba! dopiero zaczęci! I jak to dobrze, kiedy człowiek jest dopiero zaczęty. Przecie wtedy ja mógłbym zostać nie tylko gubernatorem, ale — aż strach pomyśleć! — Stieńką Razinem albo Ferdynandem Lassalem. Zgroza, jak niebezpiecznie było wtedy, ale dobrze! Przecie myśmy się wówczas zbierali potajemnie i śpiewali:

Jurons union éternelle
Avec tous les peuples divers;
Jurons une guerre mortelle
A tous les rois de l'univers!

Ale potem przyszły inne pieśni:

Si bébé est sage,
Bébé fera un beau gendarme!
Nounou dégrafe son corsage
Totilu panpan!
Et qui qu'aura du bon nan-nan?
Le petit fanfan, le petit fanfan...

http://rcin.org.pl

Tak, szkoda tamtego. Coś w głębi szepcze cicho, jak szmer jednego listka na drzewie opustoszałem: Szkoda! Szkoda ciebie Fan-Fan. Masz dom — róg obfitości, dzieci urodziwe, ciebie tu lubią, ale tyś bankrut, — Nie. nie, ja zawsze łagodziłem, niejedno nieszczęście dzięki mnie się nie stało... »Tak, tak — gdakało coś — ale tyś bankrut«. »I gdyby tak — myślał Fan-Fan — powróz na szyję, długi powróz konopny, a potem wejść na wieżę, drugi koniec powroza umocować na kracie i buch! I wahać się tak, zataczać łuki nad miastem — na widoku u wszystkich. Ale prosta wieża — niedogodna. Ot szkoda, że nie mam u siebie w Y. wieży pochyłej, jak w Pizie...«

Co do pani Z., to już kiedy była panną ośmnastoletnią na widok zachwytu, egzaltacji, uniesienia, wszystkiego, co rośnie bezgranicznie, w jej źrenicach »mróz biały a srogi migotał«. Jej Bóstwem była Karjera, a sprawdzianem wartości — powodzenie. Odwróciłaby się ze szczerem oburzeniem i niesmakiem od człowieka, który, nie mając zdolności do Karjery, chciałby w jej duszę przemycać wartości idealne. Przed piętnastu laty późniejsza pani Z. wzięła do ręki tom Słowackiego. Nagle odrzuciła książkę, krzyknęła: Et! i zamknęła poetę w szafie. Dziesięć tomów, oprawnych w czerwony safjan ze złotemi wy-

http://rcin.org.pl

ciskami, stało tak za szkłem przez lat piętnaście! Nie tylko sama ich nie czytywała, ale i innym nie dawała czytać. A zdarzali się amatorzy. Chętnieby tak zamknęła wszystkich egzaltowanych poetów, patetycznych marzycieli, twórców religji, ideologów, braci Grakchów, Spartaków, Janów Jakóbów. Pani Z. szukała przedewszystkiem dna w uczuciach: uczucia bezdenne były dla niej nie do zniesienia. Kiedy mówiono o burzycielach porządku, karbonarjuszach, socjalistach, spiskowcach, ludziach od kosy na sztorc — o tych, których głowa spoczywa nie na puchu Wygody (drugie bóstwo pani Z !), lecz na kamieniu śmiałych, lecz karkołomnych zamiarów, pani Z. wyrokowała: »Miotłami ich rozpędzą!« Jeżeli wyobrażała sobie kiedy Polskę niepodległą (ale nie prędko, tak za lat trzysta, o ile przedtem nie rozpłynie się w słowiańszczyźnie), to nie inaczej, jak w postaci kraju, gdzie panuje porządek, to jest, gdzie »księżycowi ideolodzy«, »poławiacze gwiazd« — słowem wszyscy »porywający się z motyką na słońce«, siedzą za kratą, w osobnych celach — aż do zgonu! Kiedy »dżentelmen« chorował, a później konał w szpitalu dla obłąkanych zdawało się pani Z., że go nawet jakby kocha. Kiedy jednak umarł, wzgardziła nim, jakby wzgardziła inżynierem, któ-

http://rcin.org.pl

rego most załamałby się i zapadł nie wytrzymawszy próby. Bez wahania rzuciła w ogień listy, które pisywał do niej jeszcze jako rozkochany narzeczony. Umarł — skończyło się! »Teraz trzeba zmienić skórę, która pamięta jeszcze pocałunki niefortunnego nieboszczyka«. To i owo w pani Z., skurczone w czasie długich miesięcy choroby, »dżentelmena« poczęło się znów rozprężać i kwitnąć. Oddychała całą piersią. A dla gubernatora była napojem uzdrawiającym. — Mój przyjacielu — mawiała — kobieta, która przeszła przez tyle doświadczeń, co ja, i nie nauczyła się, jednem skinieniem lub drgnięciem brwi, panować nad mężczyzną, składa upokarzający dowód, że nie ma najmniejszego talentu do poskramiania dzikich zwierząt«. Ilekroć dostrzegła chmurę na czole Fan-Fana, mówiła: »No, no!« Nic więcej. Ale w tem »no, no« była troskliwość, ciepło, obietnica, pieszczota, groźba — ba! nawet warczenie nadciągającego grzmotu. Fan-Fan się uśmiechał. Czuł napływ krwi, młodości i energji. »Cudna kobieta — myślał: jak z jednej bryły marmuru. Nigdy się nie zawaha. Nie to, co ty, Fan-Fan, z twoim Stieńką Razinem i wieżą pochyłą w Pizie«.

http://rcin.org.pl

III.

»Gubernator — myślał ojciec Nikon — zasiewa nieokreślone nadzieje. Nieokreślona nadzieja jest matką fantasmagorji. A od fantasmagorji już krok tylko w duszy Polaka do rzezi Kilińskiego«. Jeszcze srożej zaniepokoił się ten kapłan, kiedy Fan-Fan »znalazł się w ręku podstępnej Polki«. Trzeba było sprawę ratować i nie dopuścić. Do czego? Sam ojciec Nikon dobrze nie wiedział, ale niebezpieczeństwo czuł. Kiedy zamyślony szedł ulicami Y., stąpając cicho, jak cień, cierpł, że się zeń urąga spojrzenie każdego przechodnia. Wśród ciszy dla każdego innego ucha, jego ucho słyszało syk nienawiści. Byle napis kredą na parkanie, jaki »kacap« albo »moskal« spędzał sen z powiek ojca Nikona na całe tygodnie. Przewracał się z boku na bok, zapalał świecę, wyjmował notatnik i odczytywał sobie »aforyzmy« z parkanów, z miejsc ustronnych, lecz nieodzownych, z budek z wodą sodową: wszystko to bowiem szło do notatnika, spisywane gorliwie, notowane skrzętnie, zaopatrywane w datę skrupulatnie. Ojciec Nikon urządzał dla swych zwolenników pogadanki, odczyty, narady. Starał się rozjaśnić w głowie parafjanom, uświadomić ich, ostrzec. Mówił o różnicy między świętym Fran-

http://rcin.org.pl

ciszkiem z Assyżu a świętym Serafinem Saroskim. Święty Franciszek z Assyżu miewał wizje, ukazywali mu się sześcioskrzydli serafowie, a święty Serafin — wzór pokory chrześcijańskiej—przestał samotnie tysiąc dni i tysiąc nocy na kamieniu, powtarzając: »Hospodi pomiłuj«. Święty Franciszek z Assyżu rzekł o sobie: »Kiedym się modlił, zjawiły się przede mną dwa wielkie światła: jedno, w którem poznałem Stwórcę, a drugie — w którem poznałem siebie«. A święty Serafin Saroski? I ten miał godzinę, kiedy pokusa pełzła chyłkiem ku niemu. »Myślał, że jest świecznikiem gorejącym, ale im bardziej to czuł, tem bardziej czuł przygasanie boskiego światła prawdy, która w nim gorzała«. Oto dwa światy: Zachodu i Wschodu, pychy i pokory. Świat Wschodu — »bylinka w prawicy Boga«, świat Zachodu: »Tam już Bóg umarł — to wieża Babel, płonąca w lewicy Belzebuba! A i tu wszystko pychą zarażone, a wam bracia pogodnego serca i pokój miłujący przypadło w udziale stąpać po cierniach. Bo czy nie cierń najsroższy — twarz oschła, serce oziębłe, spojrzenie zjadliwe tych, coby bliźnimi być wam powinni. A jeśli się załaszą — ach, nie wierzcie im, nie wierzcie! Ot zdaje się idzie człowiek spokojny i na swojem miejscu: kaszkiet na nim bylejaki, porcięta w nogawicach

http://rcin.org.pl

postrzępione. A zajrzyj mu w duszę... czego chce? Trony obalać! Stąpacie wśród ulic, gdzie szewc skórę ciągnie, bednarz stągiew pobija, krawiec suknię szyje... A wszyscy przyczajeni: aż czarno w nich, aż kipi nienawiść! Och! zespólmy się prawosławni, skupmy się, podajmy sobie ręce. Od roku już zbieram materjały. Chcę napisać: »Szkic stosunków polsko-rosyjskich w kraju Nadwiślańskim«. Ale pomocy trzeba.., sam nie podołam. Kto co wie, niech przynosi. Metodę mam własną: rzeczy wielkie z drobnych budować. Niczem nie wzgardzę. W pokorze ducha pracuję. Szczegółów mi trzeba, odcieni, epizodów. Choćby się komu zdawało: ot fakt lichy, i plunąć nie warto, słówko marniejsze od bańki mydlanej — pryśnie i nic nie zostanie: nie filozofuj, nieś do ojca Nikona. Szyszkęś przyniósł, drzewo z niej urośnie. Nie w sile Bóg, lecz w prawdzie. A co tobie wydaje się bez siły — od pioruna może silniejsze. Z Bogiem, bracia, do pracy!

Lecz praca nad zjednoczeniem Rosjan szła jednak oporem. Wyżsi urzędnicy, (pozujący nieco z tambowska na lordów albiońskich) nie chcieli mieszać się do niczego. Sfora lekkoduchów, popijaczy i wałkoniów niższego autoramentu obiecywała złote góry, ale ostatecznie nic nie zrobiła, żeby się »zjednoczyć«

http://rcin.org.pl

i »działać«. Mimo to znalazła się gromadka ludzi posępnych, »skrzywdzonych« i do »pracy« chętnych. Zaczęto znosić do ojca Nikona notatki, słówka, półsłówka, rzeczy zasłyszane, podsłuchane i zmyślone. Notaty się piętrzyły. Drobne fakty, mikroskopijne, zestawione i skomentowane, rosły do rozmiarów zdarzeń, zapowiadających katastrofy. Ojciec Nikon utrwalał nieopatrznych w przekonaniu, że z małych triumfów społeczeństwa polskiego mogą nagle wyrość kosy na sztorc nasadzone. »Taki już naród Polacy. Lunatycy, fanfarony... I po obłokach chodzą. A gubernator z nimi. M-me Z. go prowadzi. »Tu, ekscelencjo, proszę stopę postawić«. A przedewszystkiem: oni nas tu wyrżną co do nogi pewnej czarnej nocy, rzuciwszy się z nienacka. Na każdym domu krzyż kredą zrobią. Czy kto nie widział gdzie jakich znaków kredą na domach? Nie. Sława Bohu! Ale to nic: snu posłuchajcie... Piszesz czasem, piszesz, do późna w noc, zadrzemiesz wreszcie znużony. A tu za oknem burza, pioruny, błyskawice. Chcesz powstać, okna przymknąć, ażeby wiatr szyb nie potłukł. Przywstaniesz, a tu on nad tobą... spokojny taki... Tak lat około czterdziestu, głowa już podłysiała, ale spokój straszny na twarzy. Zaraz za gardło chwyci, zarżnie. Zadrżysz, aż biało w duszy się zrobi. Piśniesz: »za co?...« Pi-

http://rcin.org.pl

śniesz, choć raczej niebo runie, niż on się zlituje. Zdrętwiejesz cały. Ockniesz się. Ani burzy niema, ani tego z nożem. Ale dziś niema, a jutro — nad tobą oczy jak talary. Dziś pogoda, jutro nawałnica. Już wiatry lecą. Czuwajmy, bracia!

IV.

Grzegorz stał nad rzeką, szykując się do kąpieli. Nagle ujrzał nad tonią, która w tem miejscu pieniła się i wirowała, małą, rozpaczliwie rozwierającą się dłoń dziecka. Rzucił się, dał nurka, po chwili wyniósł na brzeg chłopca — już nieprzytomnego. Na widok ocalonego podbiegli dwaj nadzy mężczyźni. Poczęli malca cucić i ratować. Grzegorz odsunął się na pewną odległość.

Byli to Rosjanie. Ocalony chłopiec też był Rosjaninem. Wkrótce dzięki zabiegom towarzyszy malec odzyskał przytomność.

W kwadrans potem, kiedy Grzegorz już się ubierał, Rosjanie wskazali go malcowi. Niedoszły topielec jeszcze blado-siny na twarzy, bez czapki, z włosami niesfornie sterczącemi na wszystkie strony, zbliżył się do Grzegorza. Milcząc, wyciągnął do niego ręce i złożył usta do pocałunku. Grzegorz podniósł go. Ucałowali się serdecznie.

— Uratowałem cię — rzekł mężczyzna.

http://rcin.org.pl

— Dziękuję — rzekło dziecko.

Potem malec wrócił do swoich dorosłych towarzyszy.

Grzegorz szedł ku miastu. Wkrótce usłyszał za sobą przyspieszone kroki. Jeden z Rosjan dopędzał go.

— Daruj pan — rzekł po rosyjsku — że pana zatrzymuję. Pozwól pan sobie powinszować. Postąpiłeś szlachetnie. Uratowałeś chłopca, Rosjanina. To synek naszego sąsiada. *My ruskije ludi umiejem byt' błagodarnymi.* Jak pańskie nazwisko? My, Rosjanie, mamy tu swą gazetę »Y-j Listok«. Napiszemy o panu.

Grzegorz odparł, że nie chce rozgłosu. Dziecko już mu podziękowało. Jest zadowolony. Dość mu na tem.

— Ależ pozwól pan, tak nie można. Chcemy się wywdzięczyć. Napiszemy o wspaniałomyślnym czynie pana. Lecz trzeba nam wiedzieć, jak się pan nazywa i adres...

Grzegorz zwrócił się twarzą i spojrzał w źrenice mówiącego.

Oczy Rosjanina ziały niechęcią, przymgloną, lecz zawziętą urazą, że to on, Polak, a nie oni, Rosjanie, wyciągnęli z wody Rosjanina.

Grzegorz przyspieszył kroku. Nie odzywał się już do Rosjanina, który go jeszcze czas dłuższy nagabywał.

Ale Rosjanie nie dali za wygraną. Szli

http://rcin.org.pl

mu po piętach. Dowiedzieli się o wszystkiem od sąsiadów Grzegorza.

Potem wstąpili do redakcji »Y-go Listka«.

Redaktor, Pietuszkow, sprowadzony z Rosji przez ojca Nikona, wysłuchał ich—zlekka pijany.

— Dobrze—rzekł.—Napiszę chętnie. Bo jak tu nie pochwalić, kiedy warto.

V.

Interesujący wypadek.

Wczoraj uczeń klasy I-ej gimnazjum tutejszego, syn radcy kolegjalnego Iwana Kozyrowa, Mitja Kozyrow, kąpał się na głębokiem miejscu. Nagle chłopca chwyciły kurcze i począł tonąć. Na ratunek pospieszył ruskij czełowiek — Grigorij Leńskij i na szczęście malca na brzeg wydobył. W imieniu wszystkich, którzy pracują dla chwały i rozkwitu ducha rosyjskiego na kresach, oświadczamy: *Spasibo wam, Grigorij Lenskij. I star i mład błagodaren wam...*

Ale pozwolimy sobie dodać ze strapieniem: Najbliżej malca kąpali się Polacy. I ani drgnęli. Nie dziwi to nas, ale zasmuca. Kiedyż, kiedyż, o Panie, będzie jeden pasterz i jedno stado!..

http://rcin.org.pl

VI.

Pietuszkow przyjął Grzegorza dość opryskliwie i potraktował zwysoka.

— Czego pan chce? Daliśmy przecie artykuł o panu. Pochwaliliśmy pana. Dziękowaliśmy. Czołem biliśmy przed panem. Z całego serca. I z gorącego serca — rosyjskiego.

— Jestem Polak.

— Pan Polak?—zdziwił się Pietuszkow. Już Puszkin w »Eugenjuszu Onieginie« dał Leńskiego. Lenskij? To znane nazwisko rosyjskie.

— Jestem Polak — rzekł Grzegorz.— Niech pan to napisze o mnie.

— Ależ poco? Poco rozmazywać? *Jej Bohu nie nado.* Czy panu nie wszystko jedno. Rzecz główna: pochwalono pana, oddano panu, co należało. Pokłony przed panem wybijano. Nu, omyłka, drobiazg. Nie Czeremisem nazwano pana przecie...

— Według mego rozumienia — rzekł Grzegorz — co prawda, to prawda, a co nieprawda, to nieprawda. A i prawa nie macie nieprawdy pisać.

Pietuszkow mrugnął okiem po szelmosku, że ot niby nie nas, starych wróbli brać na plewy... Znamy się na wolnych żartach. Spojrzał zpodełba. Ale twarz Grzegorza była surowa. Więc publicysta żachnął się niecierpliwie, wskazał na biurko, na stosy gazet...

http://rcin.org.pl

— Roboty powyżej uszu, a pan mi tu marudzi. No, dobrze. Napisze się... I... daj mi pan spokój!

VII.

Ojciec Nikon pisał, kiedy wszedł Pietuszkow. Opowiedział o wizycie Grzegorza i prosił o radę.

— Co zrobić? — zapytał, wpatrując się w żółtą twarz popa i jego oczy przekrwione.

— Źle — rzekł ojciec Nikon. — Palnąłeś pan wierutne głupstwo. Rzecz mała, ale bywają czasy, kiedy małe rzeczy wołają wielkim głosem.

— Zmiłujcie się, ojcze Nikonie, któż wiedział? Mnie ani w głowie nie postało, że Lenskij nie Rosjanin.

— Co tam Lenskij... oczywiście, wszystko to banialuki... Ale cała ta sprawa zdarza się bardzo nie w porę. Stosunki między nami a Polakami naciągnięte, jak skóra na bębnie... Trącisz pałeczką, pułk cały drgnie... Wszystko to przykre i irytujące... tembardziej, że gubernator w jasyrze u Polki, u m-me Z. Pan publicysta, panie Pietuszkow, ja także publicysta (tu ojciec Nikon obnażył zęby drobne, przypróchniałe, występujące z dziąseł ciemnych, jakby posypanych szarym popiołem...) Pisuję... Oto fakt, zarejestrowany u mnie pod tytułem

http://rcin.org.pl

»Naszych biją...« Warto przecie wiedzieć, co się w mieście dzieje... Posłuchaj pan...

I ojciec Nikon jął odczytywać:

U Błaszkinów mieszka uczeń klasy VII-ej Kański, korepetytor syna Błaszkinów — Koli. Tamże odnajmuje pokój od Błaszkinów urzędnik Hurgenson. Ten Hurgenson jest narzeczonym córki Błaszkinów — Kati. Piątego czerwca Hurgenson z narzeczoną siedzieli na werandzie, a Kański — w sąsiednim pokoju. Katja powiada: »Ten Kański spogląda na mnie zuchwale...« A Hurgenson na to: — »Chcesz, to go spoliczkuję — jam gotów — choć zaraz. Dla mnie to drobiazg«... Nie czekając na odpowiedź, wpada do pokoju Kańskiego. Tu zaszły okoliczności okropnie przykre dla nas, ludzi rosyjskich... Kański słyszał rozmowę narzeczonych, rzuca się na Hurgensona i daje mu w twarz — naodlew. A Hurgenson? Jakby gorący blin połknął... ni to, ni owo, stulił uszy i fora ze dwora. W dziesięć minut potem jakby nic, otwiera drzwi, wsuwa głowę i: »Konstanty Adamowiczu, proszę do mnie na chwilę...« Uprzejmość, głos słodki jak patoka... Jak się to panu podoba, panie Pietuszkow? Polak wstaje, wchodzi do pokoju Hurgensona i... i tu dopiero — wprost zazgrzytał ojciec Nikon — wybuchł skandal, że aż skóra cierpnie... Hurgenson rzuca się — pan myśli, że na Po-

http://rcin.org.pl

laka, panie Pietuszkow? — nie, na klęczki przed Polakiem i skowyczy:

— Jam zawsze pana podziwiał, a nawet rzec można — czciłem. Błaszkinowie otumanili mnie, osaczyli ze wszystkich stron, w potrzask złapali... Jam człowiek stracony. Choć siaduję ja z nią — z m-lle Katią wieczorami do późna, rozpływam się w czułościach i słów co tkliwszych dobieram, ale nie kocham. Udaję. Sam nie wiem dlaczego. Błaszkin niezły człowiek, ale m-me Błaszkina wprost pięścią w kark i »żeń się« powiada. Nie to, żeby pięścią materjalnie, ale baba kuta na cztery nogi; samej jeszcze romansów się chce, choć córka dorasta. A Błaszkin ślepy. Ona — m-me Błaszkina — pewnie... he! he! he! i do pana już napisała: »Precz ode mnie! Idź w świat! Oczy twe palą! Nie pójdziesz — w łeb sobie strzelę — ja, z domu baronówna Ryk von KuKu-Ryk!« Ha! ha! ha! ona tak zawsze: z początku niby walka namiętności z obowiązkiem, a później: »Ja jak Attyla: żywcem z rąk nie puszczę...« To śmiał się, to płakał Hurgenson. Kański oczy mu własną chustką wycierał, z kolan go dźwigał. (Pomyśl pan, jaki triumf dla Polaka)! Hurgenson się uparł i nie chciał z klęczek powstać: »Do śmierci, powiada, przeklęczę... Mnichem zostanę... Znam swą powinność«. (Pomyśl pan, jakie zgorsze-

http://rcin.org.pl

nie!). Wreszcie go podźwignięto: m-lle Katja zaakompanjowała, a Hurgenson zawył: »*Ja wnow pred toboju stoju oczarowan*«. (No i pracuj tu z takimi ludźmi, jak Hurgenson!). Na drugi dzień (to jest 6-go czerwca) ten *jurodiwy* począł pić naumór i po pijanemu wszystko — od a do z przed przyjacielem wyśpiewał. Taka już natura: lubi wystawiać na pokaz swe liszaje. Choć ten Hurgenson z Niemców zdaje się, ale, bądź co bądź, już on nasz, prawosławny... z matki moskwiczanki... i tak podkopuje autorytet, tak hańbi imię rosyjskie... Ale ot pod ręką nowa sztuka.

I ojciec Nikon zadeklamował z kartki:

Moskale złodzieje,
Któż was przyodzieje?
Przyjdzie Francuz z góry,
Sprawi wam mundury...

Ha! ha! ha!... nie bez talentu drobiazg! Sensu mało, ale uczucie — jest. Sam przepisałem — z parkanu... Jaka jednakże zuchwałość! Tuż na oczach policji, a litery na arszyn wysokie. Czy chce pan, panie Pietuszkow, posłuchać jeszcze? Zbiór obfity. słuchaj choć do rana, byle dobra wola...

— Nie, ojcze Nikonie. Artykuł wstępny na jutro, posiedzenie komisji... i inne sprawy. Roboty — zatrzęsienie.

— I ja nie siedzę z założonemi rękoma.

http://rcin.org.pl

Ani chwili wytchnienia. Dowiedziećby mi się oto — zaczął, podsuwając się bliżej, przybierając wyraz twarzy skupiony i przeszywając Pietuszkowa wzrokiem — jak tam oni, gdzie i co knują... Stwierdzićby raz nareszcie, czy mają plan ogólny, czy wszystkie te wybryki i fanfaronady, wszystkie te żmijki, syczące wśród pawich piórek, nie stanowią wypadkiem czegoś w rodzaju preludjum, wstępu do okoliczności daleko poważniejszych, do wypadków ciężkich, kiedy kurz pójdzie słupem i w niebiosa uderzy. A i nam z tobą, panie Pietuszkow, wypadnie grdyki nadstawić.

— Ale jakże mam zrobić, ojcze Nikonie? Napisać, że Leński Polak?

— Ach, jak to niedobrze, żeś się pan tak pokwapił! Nie w czas to przyszło. Toż oni zadrą nosa teraz. Zatriumfują. A triumf dla Polaka — nóż w ręku szalonego. Taki już naród. Zagmatwane to wszystko i przykre, a tem nieznośniejsze, że gubernator po ich stronie. W jasyrze u m-me Z. Ona uczy go co wieczór, jak ma Konradem Wallenrodem zostać.

— Ale czy mam napisać, ojcze Nikonie, że Leński Polak?

— Napisać, oczywiście napisać, ale tuż ostrzec czytelnika, wyjaśnić, zaprotestować. Et, zresztą, co tu wyjaśniać i o czem ostrze-

http://rcin.org.pl

gą?? Przysparzasz mi pan kłopotów, panie Pietuszkow. A jam już i tak w tarapatach: gwarno we mnie, jak na bazarze. Ot legniesz i nie myślisz. Nie chcesz myśleć. Odpocząć chcesz. A tu się zaczyna rozmowa. Nie z tobą rozmowa, ale w tobie. Słyszysz zdanie, weźmiesz je uchem. Słowa niby rozumiesz, a sens się rozkręca, rozsypuje. Sypnie się tak zdań kilka, jak gruz ze starego muru. I znów głucho. Już jakby nie człowiek z ciebie, ale aparat. Nie dość że aparat, ale jeszcze popsuty. To się coś w nim odzywa, to — cicho. Ot, położenie. Widać rozmawia ktoś z kimś... przez ciebie. Pozwól pan sobie powiedzieć, panie Pietuszkow, że w takim stanie rzeczy wszystko się zdarzyć może. Zmawiać się mogą jeden z drugim: »Z żelazem przyjdź i tak przed północą pójdziemy na ojca Nikona. Teraz dogodnie: noce ciemne, bezksiężycowe...«

— I nigdy nic z tego nie zrozumiałeś, ojcze Nikonie?

— Raz tylko. Ktoś ręce mi trzyma — dłonią, jedną dłonią, ale jak w kleszczach. I głos — nawet nie męski — babski głos mówi: — »Dawaj trzy tysiące. Więcej nie chcę. Ale i mniej nie wezmę«.

http://rcin.org.pl

VIII.

Ojciec Nikon położył się do łóżka. Rotmistrz żandarmerji przyszedł odwiedzić chorego.

— Żółć mi się ulała. Troski mnie zagryzły — rzekł ojciec Nikon. — Dureń Pietuszkow nawarzył piwa. Jemu nic. Robaka zaleje i szczęśliwy — na bałałajce gra. Nie wiem, jak pana, rotmistrzu, ale mnie, dalibóg, wstyd pali. Polacy śmiechem bryzgają w żywe oczy. »Ot, Moskale pochełpili się, rozwinęli chorągiew nad całem miastem. I trzeba ją było zwinąć. Sprostowanie dali: jednego talara mieliśmy w kabzie, a i to fałszywy. A teraz czuby na nich, na Polakach, rosną. A ja po nocach nie sypiam. Chichocze ktoś nade mną: co się zdrzemnę, to chi chi-chi! I już się ocykam. A przecie, rotmistrzu, jak myślicie: na co człowiek stworzony? Nie na to chyba, żeby kiedy idzie po mieście, mówiąc w sercu: pokój wszystkim! z każdego okna szczerzyło się nań urąganie? Jam człowiek pokorny. Radości wielkiej nie szukam. Ale i ja chciałbym pod wieczór dni moich spocząć czasem w gaju oliwnym...

— Ale czyż aż tak urągają? Kto i gdzie, ojcze Nikonie? Urwis chyba jaki albo żółtodziób. A sprostowanie — fraszka. Bo kto tu w Y. czyta »Y-ij Listok?« Rosjanie tylko.

http://rcin.org.pl

No przeczytali, splunęli i dość. W swoich kole sprawa. Nikt tu obcy nosa nie wścibi. Dalibóg, ojcze Nikonie, wszystko to urojenie, fantazja tylko. Kuracjęby Kneippa zastosować...

— Kto sam na piecu lega, ten i drugiego maca ożogiem — odpalił ojciec Nikon. — Sami wy chorzy, rotmistrzu. na świecką chorobę, na lekkomyślność. Toż przecie kultura dziś cała na lekkomyślności, jak na karjatydzie oparta. Cały świecki rozum — *ratio* — nic więcej, jak lekkomyślność. I ucieka dziś człowiek od tego, co jest słowo — *logos* — od słońca ucieka, od ognia, od duszy: Nie chce być gorący: chce być letni. Ale ja chcę być gorącym. Nie chcę mroków. I dlatego wiedzieć mi potrzeba, kto tu u nich herszt, kto kieruje, kto namawia, zaprawia i naprowadza, kto podżega, jakie tu u nich spiski i zasadzki, a może i podziemia jakie... Przecie we wszystkiem, co oni tu broją, widać system logiczny, zestrojony wysiłek. Fakty się grupują, gromadzą, piętrzą... Tu zaprawiacz, a tęgi — być musi.

— Zmiłujcie się, ojcze Nikonie. Doprawdy przesadzacie. I trujecie się sami. Stąd i choroba wasza.

— Leńskiego powitaliśmy, jak bohatera — zapalał się ojciec Nikon, bębniąc zlekka pal-

http://rcin.org.pl

cami po stole. — »Tyś chluba nasza i chwała!« »Czołem przed tobą bijemy!« A tymczasem, cóż on? — Nie obrażajcie — powiada: ja nie Moskal. Na noże iść będę, aż napiszecie. Och! och! gorące serce rosyjskie! Rzucił się ratować Rosjanina... Myśmy tak zrozumieli tę sprawę. I okrzyknęliśmy go bohaterem. A on, gdyby wiedział, gdyby malec miał wypisane na czole: Rosjanin i prawosławny, to on — Leński — cha! cha! cha! puściłby go z rąk i jeszcze nogą popchnął, gdzie głębiej: — Giń, Moskalu!

— No więc cóż, ojcze Nikonie. Powiesić może tego Leńskiego, że chłopca uratował? Sami wiecie, że tak nie można.

— Nie można, ale dziwny on człowiek w mych oczach, bardzo dziwny. Jam go widział na ulicy, jam go obserwował. Twarz jakaś niesamowita. A i w oczach coś jest. A cała wina moja w tem, że lepiej widzę, niż ci, coby już z zawodu jak u rysia oczy mieć powinni. A on — ten Leński — taki człowiek, że ot, jak przyjdzie do czego, to...

Ojciec Nikon nie dokończył. Wyjął z pod kołdry obrosłą włosami rękę, dłoń w pięść zacisnął i uderzył się po lewym boku. Potem, jakby porażony ciosem w serce, skrzywił się boleśnie, a po chwili wyciągnął się i znieruchomiał — niby już ducha wyzionął.

http://rcin.org.pl

Rotmistrz się zasępił.

— A czart go wie, popa. Może już co przewąchał. Dowody ma, że Leński — człowiek niebezpieczny. Ale kręci, kanalja... i donos pisze.

IX.

Po rewizji Grzegorza osadzono w więzieniu. Może byłby się wywinął jako. Ale zaszły pewne okoliczności, które sprawie »zaszkodziły«. W snach jego poczęła się zjawiać Karolina. Widywał ją jakby o świeżym lśniącym poranku — w mieście pięknem, ale nieznanem. Powietrze tam było uroczyste i cicho na ulicy. Furty pozamykane. Ludzie jakby spali jeszcze. Krzyże na wieżach złociły się radośnie. Twarz Karoliny jaśniała pogodą, jakby nieszczęśliwa przezwyciężyła nałóg i żyła życiem czystem i spokojnem. Zjawiała się na mgnienie, ubrana biednie, ale schludnie, i przechodziła obok Grzegorza, patrząc nań, ale w milczeniu — niekiedy nawet z palcem na ustach. Znikała, a po chwili owo piękne miasto rozpływało się i nikło. W głowie Grzegorza snuły się myśli, które, doprowadzone do ścisłego kształtu, takąby miały postać: Nie skarciłem jej nigdy oschłą naganą. Duszę otworzyłem dla niej, a com miał dobrego i łago-

http://rcin.org.pl

dnego — dałem. Nie mówiłem o niej przed ludźmi porządnymi. Nie dla siebiem tak robił — dla nich. Nie trzeba ludzi wodzić na pokuszenie. Jeszczeby mogli krzywo co rzec czy pomyśleć. Mamże teraz mówić o niej przed tymi, słuchać brudnych przymówek, żartów cuchnących cynizmem. Ona może tam głowę gdzie składa na kamieniu, a ja się będę przed tymi wywnętrzał i tłumaczył, dlaczego wykopałem tę izbę.

— To nie wasza sprawa — rzekł na badaniu — i nie wy o niej wiedzieć będziecie.

— A komużby jaśnie pan powiedział, dlaczego wykopał to podziemie?

— Mickiewiczowibym powiedział.

— Mickiewiczowi? Czy nie Adamowi? Temu, co »O Matko Polko« napisał?

— Temu.

O krnąbności Grzegorza poszedł raport do Warszawy. Przyszedł rozkaz: Dostawić go! (My tu mamy specjalistów do otwierania takich zardzewiałych zamków)!

Minęło kilka miesięcy. Pewnego szarego dnia w listopadzie grupa więźniów politycznych, skazanych na zesłanie do gubernji Archangielskiej, Wiackiej i Wołogodzkiej, otoczona silnym konwojem, schodziła ku mostowi Kierbedzia. Wśród skazanych był Grze-

http://rcin.org.pl

gorz. Wlókł się, mocno kulejąc. Podczas badania złamano mu nogę. W szpitalu więziennym kość zrosła się krzywo.

http://rcin.org.pl

DRZWI ZATRZAŚNIĘTE

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Słychać było dalekie odgłosy dział. Nocą żarzyły się łuny. Niemcy szli na Y. Fan-Fan opuścił miasto wczesnym rankiem, bez gwaru i hałasu. Pani Z. wyjechała później, o dwa tygodnie. Udała się do Warszawy, zabawiła tam tydzień i stamtąd poleciała do Moskwy (»biało-kamiennej!«)

Wypadki potoczyły się w tempie zadyszanem. Detronizacja cara, Kiereński (kaskady krasomówstwa!) Lenin. Coraz wyżej płonęła czerwona wieża Babel. Ulice wyglądały jak struchlałe. Głód zaglądał w oczy miastu.

Fan-Fan gryzł się i cierpiał. Rodzina jego gdzieś się zapodziała w szerokiej Rosji. Majątek ugrzązł w bankach, rozpędzonych na cztery wiatry. Wyczerpywały się pieniądze eks-gubernatora i pani Z. Lada dzień trzeba było zacząć powolną wyprzedaż ubrania, bielizny, biżuterji. Zapasy były duże... Przyjdzie jednak dzień, kiedy wszystko się skończy... A wtedy? Fan-Fan znów roił — o postronku na szyi i o wieży pochyłej w Pizie... A potem: dwa groby... dwie płyty kamienne, wynurzające się z masy chwastów, piołunów i niezapominajek.

http://rcin.org.pl

— Ona mnie nie przeżyje — myślał. I usiłował ją pocieszać. — Wszystko to przecie szaleństwo i nic więcej. Niepodobna, żeby szaleństwo trwało lata. Toż to grabież? A kiedyż to naród rosyjski wyciągał rękę po cudze dobro? Nie, *ma cherie*, znów będzie spokój, dobrobyt... Dzwony zadzwonią... I gaje zakwitną... Eks-gubernator chodził do jakiegoś lokalu, gdzie się zbierali dawni gubernatorzy, prezesi sądów, prokuratorzy... Panował tam jeszcze pewien szyk... już płowiejący. Udawano nawet tężyznę i dobre humory. Twarze się wyciągnęły, poblakły. Sieć przedwczesnych zmarszczek pokryła oblicza doniedawna lśniące, pyszne i butne. Teraz była to gromada staruszków na pozór niesłychanie dobrodusznych, chwilami nawet figlarnych. Żółć się ulewała w głębi duszek smętnych i zamroczonych, lecz przerzedzone czuprynki przylizane były starannie, tak starannie, że ani jeden niesforny włosek nie psuł fryzury. Obsiadano stoliki, wywoływano duchy. Groźny doniedawna prokurator pytał: — Czem będę za rok? i czuł ulgę, kiedy duch odstukiwał: prokuratorem!

Tak. Czasy były okrutne. Fortuna zapomniała o swych ulubieńcach. Fan-Fan pożółkł. We włosach pani Z. zasrebrzyła się siwizna. Lecz włosy te były po dawnemu bujne, a pierś urodziwej damy zachowała pełność łabędzią.

http://rcin.org.pl

Mieszkali na czwartem piętrze, zajmując dwa sąsiadujące z sobą pokoje, z wejściami od korytarza. Pani Z. coraz bardziej milczała. Fan-Fan przebiegał myślą lata ubiegłe. *Je peux bien vous raconter, ma chère amie,* — zaczynał i opowiadał historję... W tej historji występował zawsze jako zwycięzca i człowiek czarujący... Ludzie gięli się i łamali jak trzciny, na samo spojrzenie jego oczu olimpijskich. Ale pani Z. słuchała w roztargnieniu. Życie jej zamknęło się tak nagle. Drzwi się zatrzasnęły. I już się nie otworzą. Była już tylko cieniem samej siebie z przedwczora. Nie żałowała przeszłości. Pamiętała jednak, że w owej przeszłości dzień każdy karmił ją triumfem. A dziś jakaś ręka blada i fatalna podawała jej pokarm już pożuty: wspomnienie.

Raz, kiedy miasto prażyło się w upale, Fan-Fan i pani Z. weszli w ustronną uliczkę. Wiatr zrywał się czasem. Pędził kurz chaotycznym olbrzymim słupem. Koło głowy Fan-Fana i pani Z. fruwały czerwone kartki agitacyjne. Z za rogu wynurzyli się ludzie. Zaroiło się na chodniku, zaśmieconym odpadkami dyni i słonecznika. Oko gorączkowe, o białku przekrwionem, zmierzyło od stóp do głów Fan-Fana i panią Z. Po chwili ręka w postrzępionym rękawie skinęła na nich z bramy. — »Chodźcie tu... Ej, wy, tam...

http://rcin.org.pl

I pani także... Tutaj...« Fan-Fana i panią Z. otoczyła gromada obszarpańców — twardych i rozsrożonych. Wepchnięto ich do bramy...— »No, dalej, rozbierać się... Żwawiej... Dość nagrabiłeś... Nie ociągaj się... Widzisz — Tyle ludu czeka... Bądź choć raz człowiekiem... Ściągaj kurtę... Tak, tak... i koszulę także... Nie bój się... Nie pójdziesz nagi... Wystroimy cię...« W drugim kącie rozbierano panią Z. Megiery aż przysiadały z uciechy. — »Oho,— mówiły — jakie to na niej porteczki z koronkami... Dawaj, przydadzą się... choć do szorowania szaflików... I pończochy ściągaj. Jedwabne. Córka ponosi. A min nie strój. Ty nie władczyni ani królowa zamorska. A i królowe u nas teraz pomyje wylewają...

W kilka minut Fan-Fan i pani Z. przeistoczyli się w parę drapichróstów: Fan-Fan w straszliwym rudym, jakby pogryzionym przez myszy »kociołku« i zatłuszczonej kapocie, pani Z. w spódnicy z frendzlą zabłoconą, z łatą czerwoną na froncie i z archipelagiem pstrych łat pomniejszych. Fan-Fan był szaroblady. Na czole lśniły mu drobne nieruchome krople potu. Szczękał zębami, choć z niebios lał się żar nieznośny. Pani Z. wyglądała jak topielica. Twarz jej zzieleniała. Wielkie czarne kręgi wystąpiły pod oczyma. A i źrenice same słupem stanęły. Nie mówili nic. Musieli przejść

http://rcin.org.pl

koło odźwiernego. Ten stał oparty o filar, leniwie łuszcząc słonecznik. Poznał ich. Podał im klucze z obojętnością automatu. Ani drgnął. Lecz Fan-Fan pomyślał: »Kipi radością«. Chciał się wśliznąć do pokoju pani Z. Odsunęła go... Od czasu, kiedy ją zaczęto przebierać, nie powiedziała ani słowa. Eks-gubernator rzucił za nią: — »Spokoju, najdroższa, spokoju... Stoimy zbyt wysoko...« Pani Z. zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Wszedł do siebie. Zrzucił wstrętne łachmany. — »Kąpieliby teraz... ale gdzież tu myśleć o kąpieli... w czerwonem państwie... Oparł się głową na stole. Szlochał. Potem się umył, przebrał w czystą bieliznę. Łamało go znużenie. Padł na łóżko. Zasnął.

Widział we śnie, jak wchodzi do jakiegoś mieszkania. W pierwszym pokoju na tapczanie leży kobieta. Nierozebrana, lecz śpi. Cienki czarny muślin okrywa ją całą, otulając stopy i głowę. Jest to jakby pani Z., a jednak nie pani Z. Istota jakby przyjazna, nawet bardzo przyjazna względem niego, Fan-Fana: jakieś przeżycia niezapomniane łączą ich oboje — a jednocześnie jakby wroga. Kiedy wszedł, kobieta się poruszyła. Lecz nie powstała. Fan-Fan poszedł dalej. Znalazł się wśród zawiłego labiryntu komnat, pokoików, przejść, korytarzy, sieni, ganków, gdzie na szybach koloro-

http://rcin.org.pl

wych igrały promienie słońca. Te pokoje i przejścia zastawione były ogromną ilością mebli: kanapy, otomany, szafy, komody, stoły, fotele, etażerki zagradzały drogę. Trzeba było się przeciskać. Na ścianach widniały obrazy, nagie Diany na łowach, niekiedy z różowemi stopkami, zanurzonemi w złocistych strumykach, kobierce z jeleniami i trębaczami na koniach, figurki chińskie, wielkie wazy, zegary w szafkach rzeźbionych i inkrustowanych oraz inne zegary, porcelanowe i alabastrowe, z panią Pompadour i z panią Dubarry. Drewniane koniki dziecinne rżały w przejściach. Fan-Fan musiał je usuwać z drogi. Przechodził z pokoju do pokoju. Nigdzie nie było nikogo. Szczególnie przykre dla Fan-Fana było to, że podwoje drzwi wszędzie były za wąsko uchylone, a rozsunąć ich szerzej nie było sposobu. Musiał się przeciskać, a nieraz — przełazić bokiem. Dręczyło to i wyczerpywało. Ledwie uporał się z jednemi drzwiami — już właził w drugie, ciaśniejsze. Aż ujrzał na ścianach ogromne kartony białe, zamalowane od sufitu do podłogi straszliwemi malowidłami o charakterze futurystycznym i dadaistycznym. Wszędzie lała się barwa czerwona, krzyczały olbrzymy-plakaty, groziły młoty, trójkąty, żarzyły się piekielne ogniska, w których smażyli się ludzie w kołnierzach bobrowych. Fan-Fan rzu-

http://rcin.org.pl

cił się do drzwi napół uchylonych. Lecz przeleźć nie mógł, ugrzązł. Kiedy się w drzwiach szamotał — ujrzał, że dźwiga przed sobą ogromną białą trąbę z kartonu, takiego samego kartonu, jaki widział na ścianach zamalowany futuryzmami i dadaizmami. Wylazł jakoś z drzwi i troskliwie postawił karton na niskim fotelu, obitym skórą czerwoną. Główki gwoździ w tym fotelu błyszczały wesoło... Potem zaczęły się pokoje puste. Kroki idącego rozlegały się donośnie. Aż Fan-Fan trafił na sień i wyszedł na dwór. Lecz tu, na przeciwnym końcu podwórza zjawiła się owa kobieta, która leżała była na tapczanie, przykryta czarnym muślinem. Wybiegła z ganku, na ustach mając okrzyk: — »Złodziej! złodziej«! — Jeszcze chwila a krzyknie: — »Złodziej! złodziej«! A on, Fan-Fan, w łachmanach i w rudym »kociołku« z dziurą! Wzdrygnął się i... obudził.

Był już zmierzch. Eksgubernator wyskoczył z łóżka. Ubrał się z gorączkowym pośpiechem. Zastukał do drzwi pani Z. Nikt się nie odezwał. Fan-Fan wyjął z kieszeni mały klucz od zatrzasku...

Pokój pani Z. był w straszliwym nieładzie. Szafa stała otworem. Suknie i bielizna poniewierały się po podłodze. Wśród drogich lśniących materji i koronkowej bielizny rozkładały się tu i owdzie brudne plamy łach-

http://rcin.org.pl

manów, które pani Z. zrzuciła z siebie. Sama pani Z. leżała na otomanie — martwa. Leżała na prześcieradle, ozdobionem herbami obu nieboszczyków mężów i herbem domu, z którego pochodziła. Na wargach jej zastygła piana. Była w cienkiej, białej jak pióra łabędzie koszuli i w staniku z zielonego jedwabiu — nie zapiętym, tak że Fan-Fan odrazu ujrzał piersi bujne, bielejące śnieżnie w półmroku i jakby wywalone na powitanie chciwego rozkoszy kochanka. Od pasa martwa ubrana była w okropną, upstrzoną łatami spódnicę, którą otrzymała była w darze od tłuszczy. Na jednej nodze miała troskliwie obciągniętą cienką pończochę z jasno-różowego jedwabiu, druga — tkwiła w ciężkim, zabłoconym i wykoślawionym chodaku. Na tem okropnem skojarzeniu przepychu i nędzy, wonności i mdlącego odoru lśniły perły. Widocznie pani Z., umierając, obsypała się perłami!

Fan-Fan napróżno szukał kartki: Pani Z. zatrzasnęła drzwi za sobą bez pożegnania.

Otruła się morfiną.

http://rcin.org.pl

KSIĘŻYC

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Pierwsze bajki, opowiadane przez piastunkę, śpiewały mi o księżycu. Lunatycy, biegający zwinnie po gzymsach, napawali mnie dreszczem zachwytu. Księżyc zawsze coś opowiada, na coś wskazuje, o czemś przypomina. Tylko muzyka umie być tak cichą i łagodną, tak przytajoną, jak blade światło księżyca, zalewające nagle polanę leśną. Daje on nieraz obraz zimnej, odległej samotności i dumy, marzenia, zawieszonego nad górami i lasami, a kiedy mknie przez chmury, rozdzierając je, rozżarzając i gasząc, przypomina duszę ludzką, trawioną namiętnością. Wywiera on swem życiem samotnem i swemi licznemi metamorfozami wpływ wyraźny na życie człowieka. Są ludzie, którzy skarżą się przed księżycem, wyglądają od niego pociechy, pytają o radę. Ludzie ci, wracając do domu i widząc sprzęty pokoju, lśniące w bladem świetle księżycowem, długą chwilę nie zapalają lampy, aby napawać się milczeniem tego lśnienia, cichszego ponad wszystko na ziemi . . . .

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Przed kilku laty w kościele miasta K. odbył się ślub wysokiego i pięknego mężczyzny rzeźbiarza S. z panną R. Co odrazu wszystkim rzucało się w oczy, to jaskrawe przeciwieństwo w wyglądzie państwa młodych. On — z głową lwa, o oczach ciemnych i głębokich, barczysty, spokojny i pogodny. Ona — średniego wzrostu, raczej krucha, niż mocna w budowie, nieustannie f a l u j ą c a oczyma, ustami, piersią. Nerwowe jej ruchy, lśnienie niespokojne włosów, ruchliwa żywość skóry, wymowa rąk ciepłych i delikatnych, wreszcie oczy zielono-niebieskie o spojrzeniu, które stawało się to płytszem to głębszem, to się żarzyło to zaciemniało niby czarnem skrzydłem przelatującego ptaka — słowem wszystko w niej mówiło o nieustannej odmianie wrażeń. Ślub obojga młodych poprzedziło kilka miesięcy zażyłości, podczas których miłość narzeczonych doszła do ekstatycznego zapamiętania. Widywali się zazwyczaj i przesiadywali z sobą w jednej z ustronnych alei ogrodu K. Zdarzało się czasem, że jaki młody odludek i marzyciel, których w każdej mieścinie znajdzie się u nas choćby po jednym, przydybywał znienacka parę zakochanych tak zatopioną w sobie, z takiem żarliwem uniesieniem w oczach i tak ślepą na wszystko naokół, jakby oboje tonęli w górnem niebiańskiem widzeniu. Nagle

http://rcin.org.pl

ockniona ciekawość kazała przechodniowi utopić w obojgu badawcze spojrzenie, które chce obraz ująć i jako coś drogiego unieść i zachować na zawsze. Zaiste bowiem w tem zapadłem mieście, wśród sędziwych cienistych drzew — wśród niewielkich domów o zielonych okiennicach i ciszy, przerywanej pianiem kogutów po podwórzach, pałająca namiętność tej pary była czemś uderzającem...

Po ślubie rzeźbiarz uwiózł żonę do stolicy. Porwał ją i uniósł, jak orzeł unosi zdobycz, a małe miasto stało się uboższem o jedną parę oczu kobiecych, żywych i uroczych. Teraz dopiero dla obojga zaczął się okres niebezpieczny, który doprowadza do katastrofy.

Któż bowiem był ów rzeźbiarz, wydzierający kobietę z małego miasta, gdzie każda ulica uśmiechała się do niej wspomnieniem dzieciństwa, a każde drzewo w parku obiecywało jej wielkie nieokreślone szczęście? Był to pracownik i zdobywca. W tydzień po ślubie, złożywszy pocałunek na sennem czole młodej żony i bez żalu pożegnawszy w ten sposób pierwszy gorączkowy okres swej miłości — zabrał się do pracy. Odtąd już dla niego zagadnieniem, budzącem dreszcze i tęsknoty, była nie żona, która, jak sądził, oddała mu się na zawsze, lecz sztuka. Od żony spodziewał się

http://rcin.org.pl

w niezmąconem niczem zaufaniu tej wielkiej i stałej cierpliwości i wiary, która nie potrzebuje zaklęć, uniesień i gorączkowych gestów.

W dwa miesiące po ślubie głośny, dziecinny płacz tej kobiety — płacz, który wybuchł w godzinach porannych, kiedy dusza ludzka jest bardziej trzeźwa i logiczna, niż w jakiejkolwiek innej porze doby, kazał mu zerwać się od pracy i pośpieszyć do płaczącej.

Zastał żonę z twarzą ukrytą w poduszkach, zalaną łzami, z ciałem drgającem i rozgorączkowanem. Przemówił do niej łagodnie i przekonywająco i szybko osuszył dziecinne łzy, zbiegające po policzkach. Odszedł przekonany, że był to zwykły rozstrój nerwowy — objaw przelotny i zbyt małej wagi, aby mu nadawać ważniejsze znaczenie. Ani ona nie umiała wytłumaczyć przyczyny swych łez ani on nie przewidywał, że te łzy są zapowiedzią dalszych nieuniknionych procesów.

Ci ludzie źle się dobrali — oto fakt! Jego uczucie po początkowem wrzeniu przeszło w stan utajonego, stopniowego rozrostu, lecz jakby w cieniu innych, odmiennych zadań. Ona kochała, jak dziecko naiwne, które w każdym spokoju upatruje groźbę. Rozkochana do łkania i męczeństwa niemal w pierwszem stadjum ich miłości, kiedy mąż, porwany żywością jej temperamentu, sam wznosił oczy do góry,

http://rcin.org.pl

modlił się, wydzierał ku niebu, powracała nieustanną tęsknotą do tych godzin gorących i błogosławionych, kiedy ich serca paliły się ogniem żarliwości. Czy ta zwinna, jak żywe srebro, kobieta miała instynkty nieco przytępione i dlatego właśnie nie czuła, że nie jest wcale opuszczona ani zaniedbana, lecz że miłość jej męża zapadła głębiej w większe milczenie z nadmiaru świętej ufności? A może — i ta możliwość wydaje się najprawdopodobniejszą — należała ona do natur rozmiłowanych w niebezpieczeństwie i zmierzających do katastrofy. Rzec można, że dopiero nieszczęście sprowadza na nie głębokie zadowolenie, przechodzące szybko w rozpacz i wołanie o pomoc... A kiedy pomoc nadejdzie i wydźwignie, znów zaklinają katastrofę, aby wybuchła...

Artysta-rzeźbiarz nie miał klucza do tej natury. Proces wewnętrzny, jak wylęganie się ukrytej choroby, kopał przepaść między tych dwojgiem. Kochała go ona jeszcze i kochała na zawsze za uniesienie i niebezpieczeństwo serca przepalonego namiętnością i za świeżą niespodzianość wrażeń w owych chwilach, kiedy stare kasztany cichego miasta okrywały cieniem źródło ich miłości. Lecz nie kochała go już za dzień dzisiejszy. Ona rozumiała i ujmowała wszystko, jako ruch, lśnienie, mieniącą się barwę, wznoszenie się i opadanie

http://rcin.org.pl

wśród okrzyków i wybuchów konwulsyjnych. Zanim ocknęła się świadomość tego, co robi, już z niecierpliwością dziecka wpatrywała się w twarze innych mężczyzn, szukając i wypatrując, kto obudzi i podzieli jej uniesienie.

I człowiek taki znalazł się w mieście, gdzie każdy mężczyzna niezapracowany jest myśliwcem, polującym na kobiecość tego czy innego rodzaju. Znalazła zapał i wdzięczność za to właśnie, czem mogła obdarzyć: za ekstatyczność miłosnego zapomnienia.

Pewnego dnia artysta-rzeźbiarz, kroczący jak człowiek poomacku i niewidzący nic zgoła z tego, co się dzieje w oczach i sercu kobiety, której sumieniu się powierzył, otrzymał cios obuchem w głowę. Zapuściwszy się przypadkowo w jedną z ustronnych alej parku miejskiego, może wiedziony nieświadomym instynktem, ujrzał swą żonę, tonącą w oczach mężczyzny tem samem wejrzeniem, jakiem niegdyś tonęła w oczach jego...

To spojrzenie odsłoniło mu wszystko. A jednak przeszedł cicho, niezauważony przez nich. Niedostrzegł nawet, jak tamten wyglądał. Odszedł niemy, zawstydzony w pierwszej chwili... Był im niepotrzebny... Odszedł osłupiały... »Oto los — szeptał — oto los...« Szedł ulicami, uciekał jak najdalej od tego miejsca. Oszołomiony — nie czuł bólu, lecz raczej

http://rcin.org.pl

napięte, wyprężone aż do tępego łamania zdumienie. Ból uderzył go dopiero na pewnym rogu, szarpnął nim i człowiek zawył... Przechodnie oglądali się zaciekawieni za tym mężczyzną bladym ze zgrozy, z trzęsącą się wargą i zimnym potem na czole. Szedł dalej i dalej... »A więc szczęście moje umarło? Jakże mogłem mieć je za nieśmiertelne? Dziwna rzecz — szczęścia nie widzę nigdzie na twarzach przechodniów... Wszyscy oni jakby gorzkim pojeni piołunem... I nie pragną szczęścia... Nie wypatrują go... Nie wierzą w nie. Człowiek utracił boskość... Jest jak wół, tępo przeczuwający nóż rzeźnika... I ja jestem, jak oni... i ja..! i ja...

* * *

Lecz cóż? Po godzinach takiego krążenia wrócił do domu, nie powziąwszy żadnego postanowienia. Otworzył drzwi z zatrzasku. Często żona wybiegała na spotkanie... I zarzucała mu ręce na szyję. Tym razem nikt go nie powitał. On sam poszedł jej szukać.

Wielkie drzwi szklane od balkonu były otwarte. Pokój woniał kwiatami. W przyćmionym świetle jednej lampy, stojącej w rogu i osłoniętej różowo, żona jego spała w szerokim bujającym fotelu.

http://rcin.org.pl

Nie obudziły jej kroki, otwieranie drzwi, jego obecność. Spała głęboko w zupełnej ufności.

Zdradzony szukał gorączkowo w twarzy kobiety wyrzutu sumienia lub śladu zgryzoty. Lecz w rysach uśpionej wszystko było piękne, ciche, pogodne. Usta oddychały świętą dziecinną naiwnością. Górna warga, jak płatek kwiatu okryta delikatnym meszkiem, tchnęła dobrocią i nieskończoną łagodnością. Ciemne rzęsy zadrgały czasem cichutko a szczęśliwie, jak gdyby nakryte powiekami źrenice oglądały rzeczy radosne. Szlachetne białe czoło zdawało się siedliskiem myśli pełnych wzniosłości. Ach, może w tych brwiach skupionych ukrywają się małe wysepki nikczemności? Lecz nie, i one świadczą tylko o harmonji i powadze, która następuje po chwilach uniesienia. Nie czuła jego obecności i nie drżała. To on drżał, jakby od śpiącej szedł wiew lodowaty. Ach, nie, nie szeptał, dzwoniąc zębami, ona jest niewinna, aż do ostatniego fibru niewinna! Ona nie pozna nigdy grzechu. To ja znam grzech, jego rozkosz i ohydę, jego szał i dygotanie z zapału, i duszność, która mózg ciężarem kamiennym przywala. A ona się uśmiecha; ona niewinna, ona szczęśliwa. Niechże nie będzie na ziemi ani jednej kobiety tak zdradzieckiej

http://rcin.org.pl

a tak szczęśliwej! Niech kto zawinił, tarza się w skrusze i łamie w rozpaczy!

Już miał broń w ręku i pochylał się nad śpiącą, kiedy wejrzał na balkon i w noc milczącą. I w jednej chwili ścięło go lodowate poczucie osamotnienia w tem wielkiem mieście, świecącem tysiącznemi światłami... Ani jednego przyjaciela — nikomu nie podobna powierzyć ciężaru tego, co się zdarza, jeśli zdarzenie nie jest błahostką. O żałości!

Nagle z nawały obłoków, milczących i spiętrzonych uroczyście, wynurzył się olbrzymi księżyc czerwony. Śpieszył na pomoc jak stary przyjaciel, biegnący, kiedy usłyszy dzwon na trwogę...

Płynęły chwile głucho a uroczyście. Kobieta wciąż spała, a mężczyzna w niemem osłupieniu wpatrywał się w księżyc, aż wreszcie zrozumiał jego tragedję. Księżyc ten bowiem otrząsał się ze krwi przelanej, w której się ubroczył. Teraz, drżąc z odrazy, uciekał coraz wyżej i wyżej, ocierając o obłoki krew z przerażonej twarzy. Czerwoność jego rozlała się szeroko, zalewając chmury, krążące jako skrwawione wyspy niespokojne po rozległem morzu nocy. I księżyc, wyzwalający się i uciekający z moczarów krwawych, wołał: — Mój młody przyjacielu! Ona jest tam — w tym raju, gdzie niema drzewa wiadomości

http://rcin.org.pl

dobrego i złego... Ona jest tam, skąd ciebie wygnano płomiennym mieczem archanioła. Złóż ręce, jak do modlitwy, i uciekaj, mój bolesny przyjacielu, — uciekaj, jeśli znieść nie możesz świętości bez mozołu, cierpliwości i zasługi.

http://rcin.org.pl

RUINA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Długie aleje topolowe, wśród których topola niejedna, z kory obłupana schła od czuba — biegły zielonemi kolumnami i po nich to, przenosząc nad drogą ogon czarnobiały, wieszały się trzpiotowate sroki, ruchliwe i wesołe wśród uroczystego smutku pustkowi. Na prawo i na lewo w oddali spłowiałej wynurzały się z jarów wioski zapadłe i szeptały mi swe imiona, dźwięczne jak srebro i lśniące, jak płomyki. Lasy świerkowe, czerwone glinki, łupki zwietrzałe, głęboko wryte strumyki, kręte a bezszumne, jeziorko modro rozlane pod nawisłemi wierzbami, kapusty ciemnoszafirowe, nad któremi ogniły się czerwone maki, głogi, jarzące się po wąwozach — to wszystko tak uroczo pieściło mnie barwą i milczeniem, głuchą tęsknotą życia pod prażeniem słońca, w objęciach wiatrów przegonnych i w fioletach cichych zmierzchów. Młode kobiety międliły len i przyjaznym ukłonem witały wędrowca. Potem ganek z rzuconą nań makatą rdzawego bluszczu, postój pod czerwoną dachówką gospody, żółty klawikord staroświecki, przy którym usiadłem zdziwiony, że go tu

http://rcin.org.pl

zastaję, i grałem, wkładając w muzykę barwy i samotność dróg przejechanych. Biały pudel otworzył pyskiem drzwi niedomknięte i przyszedł po przyjacielsku złożyć głowę na moich kolanach. Znów jazda i księżyc, wędrujący po chmurach. Te przybierały to kształt paszczy wężowej, to jamników, igrających z sobą. Tak to szło przede mną, zawieszone wysoko — igraszki światła i ciemnych chmur, przegony ruchliwego srebra i krep szarych. Aż wszystko, jakby znużone igraniem, stanęło. Pod księżycem rozwinęła się sfera mgławego uśpienia, atmosfera starej, tęsknej baśni. Noc się roziskrzyła głęboka.

Było to daleko jeszcze, więc przespałem noc w domu gościnnym pod naiwnymi obrazami, u cichych ludzi, i dalej jechałem. Raźniej już mijałem białe chaty przydrożne i sponsowiałe georginje w ogródkach. Pokłady gipsu błyszczały srebrnawo. Z jednej strony — pamiętam — niebo zimne było i opalowo obojętne, a z drugiej drżało djamentowo, kapało rzęsistą ulewą, całowało mię z uniesieniem. Długo widziałem, a wciąż zdala a zdala, iglicę wieży owej świątyni wyczekiwanej, do której wreszcie doniosły mnie konie zmęczone już i robiące bokami. Małe miasto podobne było do zwłok ryby śniętej. A naokół rozkładał się przestwór łąk soczystych, zwartą i jaskrawą

http://rcin.org.pl

porosłych trawą, pośród której tu i ówdzie w tym głębokim kobiercu połśniewała rzeka. Jak okiem sięgnąć, miasto się słało tu ongi, gdy jeszcze tak mawiano, miasto i gród obronny. Dziś od trupów, wdeptanych w ziemię, trawa bujniej rośnie. Nawet woda w rzece wydała mi się zdala gęściejszą i zagadkowej barwy, jakby wlew posoki ludzkiej i końskiej jeszcze się w niej rdzawił.

Miasto nikłe jest teraz, wyrudziałe i garbate. Koło krzywych, butwiejących parkanów wylegiwały się ociężałe świnie. Nad straganami drzemały jakieś licho odziane kobieciny niepokaźne. Napisy ubogie i niegramatyczne wyszczerzały się, jak chore zęby z ust, wypaczonych gorączką. A pośród tej biedoty szarej, drobnej i cierpliwej — kościół w przepychu olbrzymiego wzrostu i harmonji upajającej!

Tam wszedłem — do tego kościoła wyniosłego i znalazłem się pod strzelistemi stropami, gdzie na obrazach i w posągach zastygły wieki. Wzniosłem głowę. Nade mną wysoko na zawornikach sklepiennych widniały herby dzielnic i twarze książąt. Jedna głowa z rozwianymi włosami, z wyrazem żarliwego uniesienia, zdawała się szybować, jak orzeł nad górami w płomieniach. Przechodziłem od nagrobka do nagrobka, czytając pod rycerzami z bronzu i matronami długie napisy chwa-

http://rcin.org.pl

lebne — zadowolony, że nikt się nie zjawia. Matka Boska jaśniała w lamie złotej, jak gospodyni dobroczynna, o łaskawych dłoniach, z których spływała światłość strzelista... Obok Niej wisiał gobelin wyblakły i na nim wyobrażone cuda za Jej powodem otrzymane: konie rozbiegane stanęły, gdy ukazała się nad urwiskiem... Chromy ofiarował srebrną nogę i uleczony... Kobieta we śnie udusiła dziecko. Ożyło, gdy Ona spojrzała... I tyle innych, miłych sercu naiwnemu... Grzeszniku, pamiętaj na śmierć... wołał napis na długiej wstędze. Wysokie okna, o szybach lśniących kryształowo, a niektórych barwnych, jak godziny szczęśliwe, zdawały się ze świętą powagą zlewać światło słoneczne na ciemne, chłodne tafle posadzki. Polichromowany posążek króla głosił: »Byłem mały, ale śmiały,.. Prusaki biłem i... »Tu wiersz zatarty« — szepnął mi ksiądz, który milczkiem się zjawił — »historja historją, a trzeba było zatrzeć«...

Był to człowiek cichy, w poplamionej sutannie, źle ogolony, siwiejący, blady i wymokły. Spojrzałem na jego czoło żałosne, wytarte, poradlone od codziennych znojów. Wydał mi się pokorny i ukrywający jakąś małą, poziomą namiętność. Przesiąkł smutkiem tych murów. Kwaśny był w duchu i ubogi.

Widziałem w jego oczach wyraz piwniczny,

http://rcin.org.pl

podobny do anemicznego, strzępiastego wyglądu zielska, które wybujało wśród zmurszałych cegieł, pod okapami, gdzie słońce rzadko zagląda. To zielsko tam rośnie uparte a smutne i chrzęst jego, gdy wiatr nim chwieje, przypomina chrzęst trawy na zapuszczonym grobie.

Prosiłem, aby mnie wprowadzono na poddasze kościoła. Chciałem obejrzeć słynne wiązanie z drzewa modrzewiowego. Długo pięliśmy się — ja i kościelny — po schodach wąskich i stromych, które jakby chrząkały ostrzegawczo. Otworzył niskie drzwi w głębi ościeży. Stanąłem pod ostrogrannym spadem wyniosłego dachu.

Las potężnych trzonów, smagłych, skłębionych, jak trzewia brunatne, słupców łuków i piętnarów mroczniał w półświetle i milczeniu. Przez otwór kwadratowy wpadał snop promieni i w świetle poddasza bladem, jak twarz przerażona, latały chmary ptaków czarnych i lśniących.

Na widok tego światła bladego i ptaków, zakreślających głuche kręgi, niebacznych na obecność dwóch ludzi, wcisnąłem w dłoń człowieka pieniądz, prosząc, aby zostawił mnie samego.

I siedząc na belce, uczułem piękność i niemotę kościoła, rozsypującego się na dole w milczeniu i bez obrony. Ptaki wpadały

http://rcin.org.pl

przez otwór, podlatywały niemo, siadały rzędem na belkach, zwracały się do siebie dziobami, patrzyły uparcie oczyma lśniącemi, jak krople płynów czarodziejskich, jak ciemne drogie kamienie.

Tak pełne były te ptaki uroczystej, złowieszczej powagi, że gorycz i osłupienie ogarnęły mi serce, osłupienie i niemota kościoła na dole.

Widziałem jego starość przerażającą: usta świętych zasypane kurzem, przyćmienie świecznika kryształowego, wiszącego nawprost cyborjum, żelazne drzwiczki, przegryzane rudą rdzą, pękanie tynku, opadającego małemi plastrami, podobnemi do białych hostji, które spadają nie w usta otwarte, żarliwe i łaknące, lecz na zimne głazy posadzki, gdzie je rozdeptuje noga obojętna. Ze starego gobelinu osypywała się chmurą łuseczka srebrna: tak w pył i proch obracały się dawne cuda i wiara, rozbrajająca czułością!...

Czułem śmierć powolną kościoła i objąwszy okiem jego nawy, pełne krzyżów, kolumn, twarzy anielskich, wieńców cierniowych, i lamp, pełgających czerwono w dzwonnej otęczy kryształów — chciałem wyczarować krzyk, pełen żądzy nieba, męki i potęgi, na który gromem odpowiedzą olbrzymie trąby organów. Lecz krzyk się nie rozległ; zaskwierczało tylko jakby

http://rcin.org.pl

skomlenie psa i wilgotne pochlipywanie starca, który, stojąc gdzieś w kącie poza promieniami słońca, wdzierającemi się wylotem, płakał i drżał w ciemnych łachmanach.

Wtedy rozległ się dzwon na wieży, zagarniając fale powietrza i miotając je na nikłą, dogorywającą mieścinę.

I skradłszy się — w myślach zaiste, — pod ten dzwon rozkołysany, okryłem nim głowę, jak hełmem olbrzymim i odszukałem chciwemi oczyma pęknięcie ukośne, podobne do błyskawicy.

I źrenicami, które widziały powolny, głuchy i niemy ciąg Samotnicy-Śmierci, patrzyłem radośnie na słońce nisko się pławiące, żywe i czerwone, które zmieniało mi pęknięcie dzwonu w żyłę, pełną tętna i krwi rubinowej.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

PTAK

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wspomnienia bitwy zjawiały się w obrazach fantastycznych. Widziałem jakby wybuch wulkanu wśród nocy — w jej głębi najcichszej. Góra zionęła ogniem, wyrzucając buchające czerwone płomię. Osypywały się chmury iskier, gasnących jak myśli, kiedy się sen poczyna. Dokoła ciągnęła się blada równina. W pewnej chwili góra zagasła i wszystko się oblekło mgłą szarą. Z krateru tej mgły podniósł się słup, jak trąba powietrzna, chwiał się i połyskiwał. Dwa sztandary, na których płonił się blask zielonawy, ujrzałem jakby padające na ziemię. Szli ludzie, podobni do genjuszów, z wiankami na głowach i na orężu. Jak na spotkanie im ukazała się postać kobieca w olśniewającej szacie białej, połyskującej srebrzyście i miękko, jak pieszczota niebiańska. Wzruszyła mię piękność jej głowy i rąk, w których trzymała wazę, pełną aromatycznego, parującego napoju. Gorący zachwyt przejmował serce żarem radosnym. Nagle moje wysokie napięcie zgasło, jak świeca zdmuchnięta. Cierpki, piekący ból przeszył pierś i obudził. Po grzbiecie przetoczył się lodo-

http://rcin.org.pl

waty dreszcz i rozbiegł się zimnemi strugami aż po końce palców. Myśl, że jestem ranny zmiotła wszelką wspaniałość. Osunąłem się w mrok, a kiedy wynurzyłem się z ciemni, po chwilach czy godzinach, ból rany ucichł, a myśl moja stała się ciężką i uroczystą, jak melodja pogrzebowa. Widziałem ogromne drzewa zielone i szumiące. Pod niemi leżały zastępy nieogarnione rannych. Ich ręce i nogi były poprzełamywane. Białe drzazgi ich kości sterczały ku górze i ociekały cienkiemi, powolnemi strużkami krwi.

Potem gorączka moja snać osłabła. Ale natarczywe wspomnienia tłoczyły się do mnie i oblegały mózg. Widziałem długo, godzinami chyba, blask bagnetów, pochylonych do ataku, dziką białość zębów w ustach otwartych... głowy koni o grzywach rozwianych. Słyszałem tętent konnicy, łoskot dział, jęki, chrapanie... Paszcze armat piętrzyły się jedna nad drugą. Ściana ognista, sięgając obłoków, ryczała i rzygała ogniem.

Ale i to pierzchło, jakby się w głąb zapadło. Zapanowała cisza. Ręka, którą podniosłem do czoła, zbyt ciężka była i zbyt żółta. Włosy zlepiły się od krwi. Wargi wyschły i stwardniały. Język przylgnął do podniebienia. Dojmująca słabość skuwała członki.

Pić... pić pragnąłem, ale nie mogłem się

http://rcin.org.pl

dźwignąć! Nie mogłem nawet unieść głowy, ani otworzyć oczu, których powieki rozpalone przylgnęły do źrenic i stały się twarde, jak powłoka rogowa. Pragnienie paliło, żarło. Wytężałem ucho, czy wśród martwoty pola nie usłyszę bulgotania strugi. A gdym zapadał w drzemotę, z której budziłem się nagle jakby potrącony, me oczy zamknięte rozdzierała iskrząca się jasność ławic piaszczystych, szyb, błyszczących na słońcu i ruchomy-wilgotny blask staczających się z góry wodospadów. Wodę widziałem połyskującą, łkającą, zapienioną, biegnącą w podskokach, huczącą, a język mój, przełyk i wnętrzności płonęły, pragnąc.

Była jesień. Słońce się strumieniło blaskotliwe a wysilone. Białe obłoki unosiły się wysoko. Dokuczliwe muchy roiły się i brzęczały. Siadały na twarzach trupów i na mojej. Opędzałem się od nich mozolnie i ręka moja wciąż mi się wydawała zbyt ciężka i zbyt żółta.

Znów zapadłem w sen lub może utonąłem w niepamięci. Kiedym się ocknął, unosiły się nade mną te same białe błyszczące obłoki obojętne. Słońce stało wysoko i prawie dopiekało. Muchy w setnych rojach unosiły się nad trupami. Były wielkie, napastliwe i bezczelne. Lepiły się koło ran otwartych.

http://rcin.org.pl

Siadały błyszczącemi plamami w kątach ust martwych. Ich łapki poczerwieniały od krwi. Fruwały w dzikiej okrutnej radości, w upojeniu krwiożerczem. Wirowały, jak oszalałe. Lśniły, jak stalowe...

Tak to boleśnie było wtedy i pusto i blado na widnokręgach i dziwnie okrutnie.

I wtedy to ujrzałem małego ptaka. Zbliżał się do mnie, skacząc po bróździe. Był szary i smutny. Patrzył na martwych i na mnie lśniącemi okrągłemi oczyma. Posuwając się skokami w bróździe pomiędzy ściętemi nisko, suchemi a okrwawionemi łodygami — zatrzymywał się niedaleko ode mnie zasępiony, nastrzępiał się i dumał milcząco. Potem zawracał i znikał zwolna wśród sztywnie stojących zdziebeł rżyska. I zjawiał się znowu. Usiłowałem się dźwignąć, aby go ujrzeć już zdaleka. Dziwna, jak drżało mi serce, gdym spostrzegał to małe szare, powracające wciąż do mnie stworzenie! On jeden mógł ulecieć z tego złowrogiego pola, z pomiędzy kałuż krwi i złomów strzaskanej broni, mógł unieść się na skrzydłach do szczęśliwego lasu, a jednak wracał i patrzył na mnie ciemnemi zagadkowemi oczyma!

Tak przeżywałem godziny — ja, ranny wśród martwych, — zapomniany wśród opuszczonych. I tylko mój szary skrzydlaty towa-

http://rcin.org.pl

rzysz wracał raz po raz i dumał nade mną w tych godzinach.

Przyszła noc. Dalekie gwiazdy tonęły w ciężkim smutku. Wiatr się zrywał i niósł swąd spalenizny. Łuny pożarów rozbłysły wieńcem w oddalach.

W bladem półświetle widziałem tonącą w mroku brózdę, wśród której za dnia zjawiał się i znikał ptak szary. Była pusta. A me serce staczało się zwolna w czarność i nicość.

Ale nicość nie była czarna wiekuiście.

Po bezwładu godzinach, dniach czy chwilach błyski zielonawe poczęły tryskać z ciemności i snuć się po niej, aż stała się jednym bezbrzeżnym, grającym cicho seledynem. I róże zapłonęły na krzewach. I rozległy się harmonje. I modre zaszemrały potoki. I brózda zamigotała różowo.

Znów wracał szary ptak. Ale teraz już frunął, jakby radość skrzydlata go niosła. A przyfrunąwszy do mnie, do brata swego, rzekł:

— Oto kończy się już wszystko i wszystko się już zaczyna. Znów będzie wieczór i znów będziesz samotny.

Na progu domu będziesz siedział i ujrzysz ptaka, patrzącego na ciebie z gałęzi...

Wtedy przypomnienie zapuka do twego serca...

A teraz wstań i leć!

http://rcin.org.pl

Powstałem i uleciałem. Skrzydła ogromne szumiały za mną uroczyście. Oczy me oglądały przepych zorzy, rozlanej złotem i falującej, jak morze. A ptak szary, trzepocząc, leciał przede mną.

I tak lecieliśmy obaj ku najpiękniejszej Otchłani.

http://rcin.org.pl

ON

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Słońce wyjrzało. Krzak leszczyny zamigotał światłem brylantowem. Białe brzozy zaśmiały się i zalotnie powiały warkoczami. Na gałęzi zatrzepotał szpak i westchnął.

— Czemu to panicz wzdycha? — spytała sroka. — Czy się co przykrego przyśniło? Może o tem, że wam z ogona wyszarpano piórko? Hi! hi! hi!...

— Nie — odparł szpak — myślę o podróży. O, gdyby jejmość chciała polecieć z nami! Jest co widzieć! Słońce już zmienne: pokazuje i chowa głowę. Niezadługo przygaśnie i las ściemnieje. Pora odlotu nie za górami! Wzniosę się pod obłoki i jak strzała polecę na południe. Nad morzem granatowem przefrunę. Odpocznę na piramidach. O, zawsze się tam zbiera dobrane towarzystwo: kraski, słowiki, skowronki, żórawie nawet, chociaż to wielcy panowie, a nisko u stóp pełzają anglicy z długiemi zębami w żółtych gębach... Śmieszni, pokratkowani ludzie!

— O czem to bajesz? — spytała sowa z gąszczu jodły, otwierając jedno oko.

— O podróży...

http://rcin.org.pl

— Szaleństwo — mruknęła — rzecz mocno niepraktyczna. Poco się włóczyć po świecie, kiedy się ma na miejscu wyborne wróbelki, pliszki, makolągwy i inne idealne głuptaski. O, jak ja je kocham, jak ja je dobrze czuję — w żołądku! I dziś w nocy przytuliłam w sobie kilkoro ptasząt! Nie zmarznie to biedactwo na zimę... Niema nic lepszego, jak drzemać sobie w cieniu jodełki, w zapachu szyszek i trawić, czuć przyjemne ciepło w żołądku i pewność, że małe niewinne ptaszę przerabia się na krew, że szpony nasze się zaostrzają, a oko robi przenikliwsze, niezawodniejsze... Jak myślicie, panny sroki?

— Hi! hi! hi! — zaśmiały się sroki — myślimy, że wartoby panią trochę poczubić.

— Mnie? — krzyknęła obrażona — mnie, przełożoną pensjonatu nocnego w lesie? Mnie stateczną osobę po tylu latach cichej pracy! Ach, wietrznice wy wstrętne!

Podniosła jedną łapę, wysunąwszy szpony, klapnęła dziobem i napuszyła się, ale nagle tak słodki powiew snu ją ogarnął, że, zamknąwszy raptownie oko, wpadła w drzemkę.

Tymczasem wleciała wrona, wrzeszcząc, jakby ją kto z pierza obdzierał:

— Kra! kra! kra! na ścierwo! na ścierwo! za wzgórzem koń padły leży! Dalej towa-

http://rcin.org.pl

rzyszki, tylko zgodnie, tylko społem — dla nikogo nie zabraknie!.

Zerwały się wrony i poleciały chmarą, płosząc drobiazg leśny — makolągwy, pliszki, czyżyki, które, jak żywe lśniące kule, szybować zaczęły od krzaku do krzaku, krzycząc:

— Tra-la-la-la! Tra-la-la la!

Oj wesoło, wesoło!

Nagle jeden czyżyk ujrzał sowę i przelatując koło niej, dziobnął ją w ucho.

— A bodajeś pękł, smarkaczu! — huknęła, obudzona z marzenia, że trzyma w dziobie piękną, tłustą mysz polną... — Wpadniesz jeszcze w moje ręce, gagatku... I ja cię stuknę, ale w móżdżek i wodę z niego wypiję. Co za niewdzięczność! Ja się tu staram, zabiegam, wyszukuję po nocy, aby ladaca kot nie zżerał a ten drobiazg niesforny...

— Urwisy! nicponie! — szemrała jeszcze, sadowiąc się do snu, ale zerwał się ogromny zgiełk i hałas, bo czyżyk zwołał kilkudziesięciu towarzyszy i urządzono jej kocią muzykę...

— Kocia głowa! kocia głowa! kocia głowa! — krzyczały ptaki, rozdziawiając dziobki z błyszczącemi radością oczyma, kipiąc z rozkoszy.

— Przeleć się trochę — trajkotał ptasi drobiazg — rozruszaj, bo ci się żółć uleje i wą-

http://rcin.org.pl

troba zbutwieje, ty napuszona melancholjo w okularach!

— Bodaj wam kiszki pokręciło, świergotki utrapione! A czy wy wiecie smarkacze, że was jeszcze na świecie nie było, kiedy ja już zjada... to jest zabiegałam o ojców waszych i matki, aby ich kot nie zżerał! Pfe! co za niewdzięczność i brak wychowania!

Podniosła skrzydła, jak wachlarze, nadęła się, jak balon i odsapnęła, co wzbudziło taką radość w ptactwie, że cały las zatonął w pisku i wrzawie.

— Ha, kiedy tak, to się przeprowadzam gdzieindziej — rzekła z godnością — niech was kot pozjada! Zobaczymy! Śmiejcie się, śmiejcie, smerdy! Bodajeście popękały w kocich zębach!

Wahała się jeszcze trochę, wreszcie stęknęła, podniosła się i splunąwszy, frunęła cicho, ukośnie, a ptaki, lecąc za nią, wołały:

— Pal cię licho! Pal cię licho! Pal cię licho!

— Hi! hi! hi! — śmiały się sroki, skacząc z gałęzi na gałąź i wiercąc ogonem, jak wiosłem. — A to ją przepłoszyły! Będzie dla nas więcej...

— Czego więcej? — spytała łaskawie jaszczurka, złotemi oczyma wpatrując się z pod paproci w piękną zieloną muchę.

Mucha zdziwiona, że jaszczurka ma głos tak pieszczotliwy, odpowiedziała zwysoka:

http://rcin.org.pl

— Jeżeli chodzi o więcej, to czegoż, jeśli nie przysmaków?... Wszystko inne to rzecz tak błaha, że wspominać nawet o tem nie warto. Chyba, że przyjdzie czas rui...

— Dla mnie — westchnęła jaszczurka — ten piękny czas już przeminął! — Niestety! zostałam starą panną...

— Niepodobna! — krzyknęła mucha. — W naszym muszym stanie nigdy się to nie zdarza!

— Jak muchy kocham prawda, moje ty pieścidełko seledynowe. Ach, taka jestem złamana tym ciosem, że ledwie ogon włóczę i całkiem straciłam apetyt. Przyjrzyj się, moja duszko, i pociesz mnie, jeśli możesz.

Mucha sfrunęła bliżej, a jaszczurka: cap! połknęła ją w mgnieniu oka.

— Ach, co za nieostrożność — szepnęła — sama wpadła mi wprost do żołądka.

— Hi! hi! hi! — zaśmiały się sroki — filutka z ciebie, jaszczurko!

— Cóż chcecie, moje piękne panny-baletnice i mnie się należy z pół łuta szczęścia... Wczoraj jakiś chłopak ladaco odciął mi patykiem kawał ogona...

Wyszła z pod paproci i obróciwszy się, pokazała ocalały szczątek.

— Hi! hi! hi! Nam tam nikt ogona nie oberwie... Niechby spróbował...

http://rcin.org.pl

Śmiały się, skrzeczały, trzepotały i wierciły ogonami, jak panna na wydaniu wachlarzem.

Wtem nad lasem ukazał się wielki, zwolna płynący cień.

— Jastrząb! — krzyknęły gołębie, chowając się w gałęziach...

Pierzchło wszystko i przepadło w gęstwinie.

— Nie chowajcie się głupie — leciał głos z góry — nie będę was chwytał! Nieszczęście, wielkie nieszczęście! Słuchajcie! słuchajcie! Rąbią las!

Popłynął dalej, bijąc ociężale skrzydłami i wołając żałośnie:

— Rąbią las! rąbią las!

Rozszczebiotane sroki przycichły. Poprzez chrapliwy głos jastrzębia doleciał ich głuchy łoskot siekier:

Bum! bum! bum!

Sowa zjawiła się znowu.

Leciała nisko nad jałowcem — z czyżykami, pliszkami i innem ptactwem, które chować się chciało pod jej miękkie skrzydła — i jęczała płaczliwie:

— Nieszczęście! nieszczęście! Rąbią las! Uhu! uhu!

Wrony oderwały się od ścierwa i wrzeszczały:

http://rcin.org.pl

— Oj-jo-joj! oj-jo-joj! Oby was pokręciło!

Gołębie, odymając gardziołka, szlochały:

— Gul! gul! gul! Rąbią las, nasz piękny zielony las!

— Co? Czyż to być może? — stęknęła jaszczurka. — Rąbią las? Koniec świata! zachciało im się mego ogona, a teraz lasu! Potwory!

Wiewiórka, jak żółta kula, wdarła się na szczyt sosny i krzyczała, pląsając z gałęzi na gałąź:

— Niech was licho! niech was licho! Złodzieje! złodzieje!

Lis wyjrzał z nory spiczastym pyskiem, posłuchał, powiódł chytrem okiem po ostępie i szepnął:

— No teraz kiedy On się wdał, to już koniec. Rąbią las...

Jeż przystanął na ścieżce i załkał, nie mogąc iść dalej, a łzy, jak mak, posypały się na brodaty mech:

— Rąbią las! Cóż się z nami stanie?! Biada! Oj, biada!

* * *

I las cały — drzewa, zwierzęta i ptaki opłakiwały żałośnie minione szczęście, kiedy żyć mogły błogo, bo pożerały się wzajemnie same tylko, a On nie podniósł jeszcze na nich ręki niszczycielskiej...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

PANI DOMU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Drogi mój przyjacielu! — Od dwóch dni jestem w Kal. Nie mów nikomu, a zwłaszcza N., gdzie jestem i dlaczego. Czynię przygotowania, aby się zabrać do roboty. Kupiłem kilka gatunków papieru. Na biurku u mnie znajdziesz ołówki wybornie zatemperowane, dużo piór, trzy gatunki atramentu, nie licząc atramentów kolorowych: czerwonego, niebieskiego i zielonego. Gruby zeszyt czeka, aby się zapełniło jego wnętrze. Słowem, jak widzisz, gotów jestem do napisania arcydzieła.

Mieszkam w hotelu przy starej spokojnej ulicy, naprzeciw stacji pocztowej. Wielki kościół starożytny stoi u jej wylotu i miło mi słuchać dzwonów. Mieszkam w hotelu, bo tu się czuje ruch potoku ludzkiego i pewną łączność ze światem, czego tak pragnę! Mam dwa pokoje na drugiem piętrze, z oknami na podwórze. Skromnie a cicho! Meble nieszczególne, lecz stare, jesionowe, a zwierciadło owalne. W niem obserwuję swą twarz, dotąd zdziwioną, żem tutaj i poco. Dwa razy dziennie dźwięki trąbki i ciężki turkot zapowiadają przybycie poczty. Ogromna kareta zie-

http://rcin.org.pl

lona i zakurzona staje naprzeciw. Wychodzą podróżni — pan w szalu szkockim albo pani w błękitnym woalu. Po chwili słyszę, jak pokojówka otwiera drzwi, pokazuje numery i śmieje się do nowego przybysza. Jej dziąsła są czarująco świeże, a oczy mają rzadki kolor turkusowy. Dzikie wino obwija okno mego pokoju. Na dole, w stajni, konie żują obrok, niekiedy parskają. Gołębie zrywają się z łoskotem lub gruchają i pląsają, zbierając groch wśród kamieni. Czasem przyjdzie na podwórze młoda dziewczyna z harfą i śpiewa. Przechadzając się po mieście i parku wieczorem, patrzę na przechodniów, mijających mnie w milczeniu, jak na cienie, niemal równe temu, który odrzuca ma postać przy świetle księżyca czy latarni. Potem siadam przy biurku i.. ani zdania nie mogę napisać. Wtedy zaczynam wspominać naszą przyjaźń i wspólne zabawy. I wierzaj mi, najczęściej wraca mi do pamięci jeden epizod.

Przyszliśmy do ciebie. Zapytałeś:

— Chcesz zobaczyć zabawne zwierzątko? W sąsiednim pokoju leżała na kanapce młoda dziewczyna. Rzekłeś: — Ma ładne oczy i dobre serce, ale strasznie porywcza i zapalczywa. To niedobrze... Za to zęby ma olśniewające: trzydzieści dwie białe perły bez najmniejszej skazy... To rzadkość!

http://rcin.org.pl

— Mała — rzekłeś do leżącej — otwórz paszczę! Chcemy zobaczyć twoje zęby.

— Paszczę? — odparła siadając — jaką paszczę!? Cóż to ja krowa!?

— No, nie, Fróziu. Bądź rozsądna. Otwórz usta. Chcemy obejrzeć twe piękne zęby.

Dziewczyna otworzyła usta.

Zajrzałem wewnątrz. Rzeczywiście: zęby takie, że trudno o nich zapomnieć.

Wczoraj długo spacerowałem po mieście i po alejach ogrodu miejskiego. Na rynku stały olbrzymie wehikuły, przeznaczone głównie do wycieczek za miasto. Konie, karmiąc się owsem, rozsypywały ziarno na bruk. Myślałem uporczywie o zębach Frózi i o tobie.

Powiedz mi, jak napisać arcydzieło? A twój »Sardanapal«?

Ściskam Cię

Paweł

* * *

Drogi Pawle. Twój list mnie zadziwił. Czyż naprawdę masz zamiar ugrzęznąć w tem miasteczku? Czy chcesz napisać powieść, o nieszczęsny?! Dziwna, jak słaby jesteś człowiek! Frózia zachwycona, żeś o niej wspomniał w liście i nakazała mi solennie, abym ci posłał od niej »serdeczny ukłon«.

Co do powieści, to bez ceregieli siadaj,

http://rcin.org.pl

a pisząc pleć, co ci ślina do ust przyniesie. Jeśli nie możesz ruszyć z miejsca, to pewnie dlatego, że nie masz modeli. Zrób w gazecie miejscowej ogłoszenie następującej treści:

»Młody, utalentowany, tęskniący do wawrzynów romansopisarz-psycholog prosi panie i panny, mające zamiar zostać heroinami jego najnowszego romansu, aby się raczyły do niego pofatygować między siódmą a dziesiątą po południu — dla celów psychologicznych. Potrzebne są różne typy od Circei i Balladyny do Antygony i Lilli Wenedy — włącznie.

P. S. Zbyt szpetne mogą śmiało pozostać w domu.

Daruj, że Ci posyłam tylko słów kilka. Winna tu znowu Frózia, która zjawiła się dziś i straciłem z nią dobre dwie godziny. Rozpytywała mnie, skąd się wziął świat i o inne mądre rzeczy. Twierdzi, że każdy wykształcony człowiek powinien wiedzieć napewno, czy piekło jest, czy go niema. Chwytam za pędzle i biorę się do »Sardanapala«, który rośnie... rośnie!...

Całuję Cię, a Frózia ślicznie
Ci się kłania.

Twój Wit.

* * *

http://rcin.org.pl

Drogi mój przyjacielu. I ja także kłaniam się pannie Frózi i wołam: zęby prześliczne!

Niesłusznie żartujesz, mój drogi! Położenie jest bardzo poważne! Posłuchaj! Dowiesz się, dlaczego tak nagle wyjechałem z Warszawy.

W nocy z 24-go na 25-ty czerwca powróciłem do domu, jak zwykle, około trzeciej. Na stole leżał list. Matka krótko a węzłowato wzywała mnie do siebie, na wieś. Pojechałem.

Na trzeci dzień, gdym nieco odpoczął po podróży i zmęczeniu, wywołanem nieustanną prawie w ostatnich czasach hulanką, siedziałem z matką w obszernym pokoju. Okna na ogród były otwarte. Zapadał wieczór letni. Matka mówiła:

— Mój drogi Pawle! Los twój mnie niepokoi. Twoi starsi bracia — Jean i Théodore doskonale się urządzili. Mają piękne żony i ładne dzieci. Jean — znakomity chirurg, Théodore — bogaty dzielny przemysłowiec. Są zdrowi, szczęśliwi, weseli... A cóż ty, drogi Pawle? Pomyśl o sobie. Pomówmy otwarcie. Uniwersytetu nie skończyłeś, cofnąwszy się przed tem, co każdy dzielny mężczyzna uważa za obowiązek swojej czci i honoru. Mówię o egzaminach ostatecznych. Upłynęło lat kilka, a tyś niczem dotąd. Kiedy się mnie

http://rcin.org.pl

pytają: »Jakże się ma pan Jean«? z radością i dumą matki odpowiadam: — Jean ma się świetnie... To samo rzec mogę o Teodorze. No a ty, Pawle, cóż mam rzec o tobie? Przecież powinieneś już być czemkolwiek. Wystaw sobie, że w moim domu jest zjazd rodzinny czy wielkie przyjęcie, że zjawiło się mnóstwo gości. Wchodzi Jean. Mówię z dumą matki: — To mój syn, Jean, znakomity chirurg. Potem o Teodorze: To Théodore — dzielny przemysłowiec... A o tobie: — Mój syn, Paweł, i tyle... Nic więcej... milczenie... Otóż to właśnie milczenie mnie nęka. Pawle, tyś był moim ulubieńcem! Urodziłeś się tak wątłym, żem myślała, iż umrzesz niebawem. Ale ubłagałam niebiosa i zostawiły mi ciebie. Kiedyś podrósł, strasznym stałeś się urwisem. Pamiętam, jak okropnie raz mnie przestraszyłeś! Była ciemna noc, a ty na szczudłach z węglem gorącym w zębach zajrzałeś w okno. Albo pamiętasz, Pawle, — jak to dobrze wspominać to, co już przeszło! — pamiętasz? Patrzymy w ogród. Ktoś siedzi na pagórku. Duch czy mara? A to znów ty. Okryłeś się prześcieradłem i przy księżycu udawałeś upiora. Ach, Pawle, jakeś ty rozśmieszył mnie i Karolinę, kiedy guwernerowi Dugismondowi napuściłeś żab pod kołdrę! Nie było końca twoim figlom i wybrykom! Byłeś mą dumą!

http://rcin.org.pl

Wciąż myślałam, czem ty będziesz, mój synu! Raz cię złapałam, jak przed lustrem stroiłeś miny. Na mój widok parsknąłeś śmiechem, a ja pomyślałam: Ach, tak, tak! Mój Pawełek będzie wielkim artystą dramatycznym! Pamiętam, jak dziś. Był dzień letni... okna otwarte... Twoja ciotka Karolina rozlewała zupę. Miała ona bardzo piękne ręce, a że moda była wtedy na szerokie rękawy, więc te ręce widać było poza łokcie. A więc ciotka twoja Karolina (świeć Panie nad jej duszą!) rozlewała zupę wielką łyżką. Wchodzę i oświadczam:

— Paweł zostanie wielkim aktorem... — Powiedziałam uroczyście. Wszyscy w śmiech. Zmieszałam się i zawstydziłam... Omal nie pogniewałam się wtedy z ciotką Karoliną o ciebie, Pawle! Raz twój stryj Dionizy prosił, żebyś mu zaśpiewał (bo wiesz, że jako dziecko głos miałeś bardzo piękny!) Rzekłeś: »Dobrze, ale proszę mi dać srebrnego rubla«. Klasnęłam w ręce i zawołałam: — Ach, mój Pawełek będzie bankierem! A tymczasem cóż? Théodore daleko bogatszy od ciebie, choć nigdy nie był tak sprytny, zwinny i pomysłowy. Czemże ty chcesz być nareszcie, mój Pawle?

Na to pytanie pomilczałem chwilę z szacunkiem, wreszcie rzekłem:

— Mateczko, w życiu jest tyle dróg, że

http://rcin.org.pl

doprawdy dobrze się trzeba zastanowić, aby nie postawić fałszywego kroku...

Tymczasem matka moja znów zaczęła wspominać przeszłość:

— Sprzedaliśmy dom i ogród w Kijowie niejakiemu Szwarcowi za 125 tysięcy rubli. Szwarc po roku sprzedał posiadłość Weissowi za 140 tysięcy, Weiss po pięciu latach odsprzedał ją Izobolskiemu za 180 tysięcy. A czy wiesz, ile teraz jest warta nasza dawna siedziba?

— Nie.

— 350 tysięcy! Ach, poco nam było sprzedawać dom i ogród, gdzie się urodziły i rosły moje dzieci, gdziem ja spędziła lata moje najlepsze, gdzie umarła moja najmilsza siostra i przyjaciółka, twoja piękna ciotka Karolina! Bylibyśmy teraz bardzo bogaci!

Milczałem z szacunkiem.

— Trudno — rzekła matka — wróćmy do dnia dzisiejszego. Nie wstyd ci, Pawle, być niczem dotąd?

Chciałem coś rzec, alem się powstrzymał; poruszyłem jednak wargami i wydałem pomruk, który w ostatecznej potrzebie mógłby uchodzić za jęk żalu nad zmarnowanym czasem.

Tymczasem matka znów zaczęła mówić:

— Nie rozumiem dzisiejszej młodzieży

http://rcin.org.pl

i literatury, tych ulotnych nastrojów i noweletek, składających się z dwustu wyrazów. Ot Dumas ojciec, Wiktor Hugo — to są pisarze! Posłuchaj Pawle, jak pięknie opisuje Wiktor Hugo »Le monstre«, to jest okropnego polipa, w swoich »Les Travailleurs de la mer«.

I matka zaczęła czytać nieskończenie długi spis tego, czem *la pieuvre* jest, a czem nie jest i co to właściwie za poczwara.

Ziewałbym, gdyby nie to, że się boję matki i ubóstwiam to wszystko, co Jej się podoba.

Wreszcie skończył się opis »le monstre« i matka moja się zatrzymała. Utkwiwszy we mnie spojrzenie, jak gdyby dopiero teraz spostrzegła mnie na dobre, zapytała:

— No, czemże ty chcesz zostać, Pawle?

Chciałem powtórzyć zwykły swój frazes, że w życiu jest tyle dróg, iż lepiej dobrze się zastanowić, zanim się krok uczyni i dokona wyboru. Ale matka mnie wyprzedziła:

— Jeśli myślisz, mój Pawle, że niszcząc nieustanną hulanką system nerwowy, doprowadzisz siebie do obłąkania, a nas zmusisz do troszczenia się przez całe życie o nieszczęsnego chorego; jeśli się spodziewasz, że umieścimy cię w pięknym zakładzie i będziemy strzepywać łzę rozrzewnienia z oka na dźwięk twego imienia, to się srogo zawiedziesz. Skoro

http://rcin.org.pl

ty nie żałujesz siebie, nie żądaj od nas serca i żalu. Nie myśl, że otoczymy cię komfortem, że ci kaftan bezpieczeństwa uprzędziemy z cienkiego jedwabiu. Jam kobieta serjo! Ja zapomnę o złym, lekkomyślnym człowieku, który siebie zatracił i zgubił!

Mateczka zatrzymała się i oświeżyła usta łykiem orszady. Jam stał pomieszany. Po dłuższej chwili zaczęła już łagodniej:

— Pawle, ja myślę, że mógłbyś zostać pisarzem. Nie jesteś zdolny do niczego, prócz wydawania pieniędzy, włóczenia się po nocach i hulanki, więc... może ty masz talent literacki? Trzeba spróbować. Wierszyków i noweletek z dwustu słów — nie chcę! Posłuchaj, Pawle! Jeszcze raz chcę ci podać rękę. Otrzymasz dwa tysiące rubli, rozłączysz się z przyjaciółmi, wyjedziesz na prowincję, weźmiesz się do pracy! Po roku przyniesiesz mi tom o trzystu stronicach. Tom musi być dobry: tego wymaga honor rodziny. Wydamy go... i przyszłość twoja zapewniona! Jeżeli nie, nie dostaniesz ode mnie więcej ani grosza! Posłuchaj, Pawle! Jam cię zawsze więcej kochała, niż inne dzieci, lecz jeśli i tym razem zawiedziesz moje nadzieje, jeśli wrócisz z pustemi rękoma, zapamiętaj to sobie: nie masz już matki!

http://rcin.org.pl

KROKODYL

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Un sot trouve toujours un plus sot, qui l'admire. Boileau.

Otulony pledem mężczyzna obudził się, siadł na ławce. Potem wskazując na okno wagonu, rzekł:

— Piękny poranek.

Istotnie, poranek był piękny. Pociąg pędził przez olbrzymią zieloną równinę. Gdzieś na skrajach stały wysokie topole. Powietrze było przezroczyste i pełne srebrnych drgań.

Mój sąsiad, mężczyzna ogromnej budowy, blondyn, o brodzie rudawej, niezrażony milczeniem, bo za odpowiedź skinąłem tylko potwierdzająco głową, ciągnął dalej:

— Spałem wybornie. Teraz czuję wilczy apetyt. Lampka dobrej starki i kawał pasztetu będzie zupełnie na miejscu. Sądzę, że się pan trąci ze mną?

— Nie.

— Czy tak. Ale kieliszka wina pan nie odmówi? Wino rankiem, wkrótce po wschodzie słońca, daje doskonały humor na cały dzień.

Przyjąłem zaproszenie. Mój towarzysz jadł dużo, pił dużo i mówił dużo. Miał potężne

http://rcin.org.pl

szczęki, żołądek i zdrowie. Humor złotą falą przelewał mu się w oczach, a zęby lśniły triumfalnie.

— Czy nie doznaje pan — zapytałem — przykrych skutków zatrucia wyskokiem?

— Nie. Po sutej libacji czuję się tylko przeniesionym bliżej słońca.

Skończyliśmy śniadanie. Pociąg stanął na małej stacji w pustej okolicy. Naokoło, jak wzrok zasięgnie, nic prócz równiny i mokradeł, nad któremi kłębiły się jeszcze nierozchwiane mgły ranne.

— Tu się mijamy z pociągiem z przeciwnej strony. Mamy dziesięć minut czasu. Pójdę odwiedzić jaszczurkę... Jadę z Afryki i wiozę żywego krokodyla. Jeżeli pan chce...

Poszliśmy odwiedzić krokodyla.

— Krokodyl ten ma dość ścisły związek ze sprawą Ucznia, o której pan zapewne słyszał?

Przybrałem minę zdziwioną.

— Jakto? Nie czytał pan nic o sprawie Ucznia? Wszak to bomba głośna na całą Europę. Hm, kimże pan jesteś, że nie czytujesz gazet?

— Publicystą...

— Aa... rozumiem. Wstręt do wielkich płacht papieru i niechlujnego języka. Widzę, że trzeba będzie opowiedzieć panu wszystko od początku. Ale naprzód odwiedzimy zwierzątko.

http://rcin.org.pl

Krokodyl zajmował cały wagon. Kiedyśmy weszli, używał właśnie kąpieli w olbrzymim basenie szklanym.

Na widok właściciela, płaz się wynurzył z wody i rozwarł olbrzymią paszczę. Widząc, że nic w nią nie wpada, kłapnął wściekle zębami i rozprężył się gwałtownie, wyrzucając w górę kłąb zbałwawionej wody.

— A, niecierpliwi się. Ma apetyt. Cierpliwości, brzuchaczu! Nie mogę tuczyć cię, jak kapłona. Odpowiadam za ciebie, poczwaro, i nie chcę się zbłaźnić.

Zwrócił się do mnie:

— Niech pan spojrzy na te małe, ziejące wściekłością ślepki. Ileż w nich zaciętej podłości i lodowatej pychy! No, nic dziwnego. Mówiono mi tam, na miejscu, że to ten sam krokodyl, który pożarł trzech dostojników egipskich z orderami.

Wróciliśmy do wagonu. Pociąg ruszył. Właściciel krokodyla zapalił cygaro.

— Ale że też pan nie słyszał o sprawie Ucznia. Rzecz jest tak głośna...

— Słucham pana.

— Zacznę od szlachetnego bałwochwalstwa. Choroba ta trapi znaczną część inteligentnej gawiedzi między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia. O cóż chodzi szlachetnym zagorzalcom, trapionym tą niemocą?

http://rcin.org.pl

O nałóg i jego nagrodę: *delirium tremens!* O chwilę najnikczemniejszego unicestwienia; o zmalenie do wielkości pustego orzecha, któremu za przestronno w mysiej dziurze; o oglądanie siebie w postaci Łazarza, trawionego trądem najprzeraźliwszego ubóstwa; o poczucie, że się jest nicością, która ledwie że śmie zipać wobec zasłaniającego widnokrąg boga. Człowiek wychodzi z takiej łaźni napiętnowany na zawsze stygmatem niewolnika. A tego właśnie chce ta gawiedź, pozbawiona zdrowych instynktów, na to, ha! ha! ha! potrzebni jej są genjusze! Wybałuszone od zachwytu a świecące prawdziwą orgją bezmyślności oczy; usta, zbielałe od wrzasku i spieczone od jałowej gorączki, kremowe stroje histeryczek, dźwigających w drżących patykowatych rączkach wieńce laurowe — cóż to znaczy? To gawiedź upija się bałwochwalstwem i upaja pogardą dla samej siebie. A jeśli się zajrzy dalej, głębiej, śmielej — cóż widać? Skrofuliczną obojętność na to, czem jest genjusz w najczystszej istocie, a zachłystywanie się wyziewem genjuszu, jak alkoholem, morfiną, belladoną...

— »Patrzcie! patrzcie! Hosanna! hosanna! Jam taki upośledzony, kretyniczny i zołzowaty, a On (patrzcie! patrzcie!) jaki wielki, wspaniały, głęboki, oryginalny, eteryczny, boski!«

http://rcin.org.pl

— Ach, jaki boski! — miauczą histeryczki.

Trudno. Ludzkość jest jeszcze w tym wieku, że się bawić musi. I bawi się okrutnie. Niestety, prawie nikt z »wielkich« nie jest o tyle wielki, żeby od tego wszystkiego nie zaczadzieć.

A skoro raz zaczadzieje, uważa się za tabu, świętość, nietykalność, kostnieje, czasem nawet przybiera tytuł Augusta. Dla ludzi, mających trochę dobrego smaku, stracony jest na zawsze.

— Być może. Ale czy ma to jakikolwiek związek ze sprawą Ucznia i pańskim krokodylem?

— Ma, jak się pan zaraz przekona. Jeden z takich zaczadziałych wywierał w ostatnich czasach wpływ zaraźliwy. Młodzieńcy biegli za nim, jak alkoholik za wędrującą karczmą. Całe zgraje sfiksowanych, grzywiastych, wyjących i płaksiwych dziewic włóczyło się za tym filozofem, jak stado szakalic za lwem. Czasem wabił ich ku sobie gestem chudej ręki i rzucał im na pożarcie nową prawdę, wydartą niebiosom. Wreszcie zawiązano stowarzyszenie kontemplacyjne: Braci i Sióstr Kamforowych Mniejszych. Nie jestem wtajemniczony w rdzeń ustawy, ale wiem, że postanowiono zapatrywać się na życie, jako na suknię z ołowiu na wątłych barkach skazańca.

Wśród zacietrzewionych czcicieli Mistrza

http://rcin.org.pl

zawieruszył się jeden człowiek... godny uwagi. Tak, najmędrszy z nas może czas niejaki czule tulić do piersi najpokraczniejszą ideę. Był on zdania, że dyscyplina duchowa, stosowana czas niejaki, może pogłębić... duszę. Rygor i dziwactwo wzniecały uwielbienie w tej naturze pięknej, lecz niedoświadczonej. Poświęcenie jego nie miało granic. Ponieważ Mistrz w obawie reumatyzmów nigdzie nie ruszał bez parasola, i nieraz uderzony najniespodziewaniej nowem światłem, rozczepierzał ręce i gubił trzymany przedmiot, Uczeń podjął się łazić za nim, dźwigając parasol, prawdziwy składany namiot z zielonego rypsu. Oczyma pełnemi ekstatycznego rozmiłowania tonął w oczach Mistrza, nie widząc urągliwych spojrzeń pospólstwa.

Pewnego poranku spokojnych filistrów miasta zbudziło płaczliwe zawodzenie i kłapanie pantoflami o bruk uliczny. Byli to Bracia i Siostry Kamforowe, opłakujący zniknięcie Mistrza. Bracia wrzeszczeli jak opętani, siostry skowytały jak hieny. Widać było rozkołtunione łby, sunące w rozpaczliwych susach od domu do domu, podniesione desperacko kołnierze, kalosze na piętach żałośnie pęknięte, guziki krzywo zapięte na wątłych łonkach onanistek, rękawy zabielone od czochrania się o piec i inne wymowne objawy rozprzężenia i skołatania.

http://rcin.org.pl

Jedynym człowiekiem, który w całej tej orgji żalów zachował godność osobistą, był ulubiony Uczeń Mistrza. Widać było, że cierpi i że się niepokoi. Nic więcej. Wieczorami stawał na moście i ze smutkiem patrzał na płynące w dal nurty, jakby szukając w tajemnicy fal i gwiazd wieczornych odpowiedzi na pytanie: gdzie jest Mistrz?

Rozpacz bractwa Kamforowego wkrótce się uśmierzyła. Dzienniki doniosły, że znakomity filozof i myśliciel wynurzył się w Anglji i bawi w Londynie.

Uczeń natychmiast popędził nad Tamizę. Powitanie było, podobno, bardzo solenne i serdeczne. Myśliciel zgubił już trzy parasole, więc powitał Ucznia z uniesieniem.

Kiedy znaleźli się w Hyde-Parku, Mistrz się odezwał:

— Nadeszła chwila... Czuję to, nadeszła, powtarzam, chwila, żebyś odbył przede mną spowiedź z całego życia.

Spowiedź pozostanie na zawsze tajemnicą tych dwóch ludzi. Wiadomo tylko, że był w niej ustęp tej treści:

— Przed ośmiu laty poznałem w błotach pińskich niejaką Kloryndę. Była płaska, chronicznie osowiała i była jednostajna, jak okno na północ. Lecz jam był tak młody! Dusza moja była hymnem! Śpiewałem i tańczyłem —

http://rcin.org.pl

nawet przed nią! Bóg mi widocznie dawał skrzydeł w owych godzinach! Aż raz podczas uroczystego zachodu słońca chwyciłem ją za ręce i musnąłem wargami po policzku.

Mistrz się zasępił.

— Ta sprawa poważna — rzekł, bębniąc palcami po stole. — Kobieta pocałowana już na zawsze należy do ciebie. Daj mi jej adres.

— Na Boga, Mistrzu, co chcesz uczynić?!

Był to głos człowieka zbielałego od rozpaczy — pod którym ziemia się rozwiera. Bo z jednej strony—miłość do Mistrza, głęboka, tajemnicza, wyposażona we wszelkie czułości i wiary, a z drugiej — Klorynda! A któż to była ta Klorynda? Istota gotowa pożreć wszystkie natchnienia i muzyki świata, a na drugi dzień podczas słoty uszargać się po kolana i od wtorku do piątku mrozić i szarpać duszę przechodnia widokiem okrycia, na którem trąd błota potworzył obrzydłe archipelagi. Niechże pan jednak nie sądzi, że Klorynda była leniwa. Nie. Ona nie czyściła ani nie polecała czyścić swych sukien dla tego samego powodu, dla którego nigdy nie paliła w piecu sonatami Beethovena. I do zachlapania się i do wysłuchania sonaty parł ją zupełnie jednakowo głuchy, bezbarwny popęd. Ale sądzi pan może, że Klorynda, nie będąc zdolną do rzeczy wzniosłych, była zdolna do po-

http://rcin.org.pl

rządnego grzechu, do zbrodni, wymagającej akcji? Nie. Postanowienie, podniesienie ręki uzbrojonej, cios — były to rzeczy niedostępne dla tej duszy kisnącej, równie dalekiej od Boga, jak od Szatana. Zabić człowieka, jeśli trzeba — i owszem, ale cicho, cudzemi rękoma, a potem milcząc, bez entuzjazmu, z błogim uśmiechem, z mgłą gnuśną w oczach — zgarniać lata całe korzyść — oto mizerne świtanie idei praktyczności w tej głowie, z którą zgoda jest absolutnie niemożliwa. A jednak... Klorynda, gdyby była siedziała na miejscu, byłaby zdatna do pewnej rzeczy: oto mogłaby własnem łajnem użyźnić kawałek ogrodu... Lecz że miotała się po kuli ziemskiej, jak mysz po pułapce, więc i ta korzyść z Kloryndy była stracona. Oto jaką była ta Klorynda. Ileż trzeba było zapału, jakich pokładów miłości rozrzutnych a niewyczerpanych, żeby i ją powołać do radości i na jej policzku złożyć bratnie wezwanie: powstań a żyj! Ale cóż odpowiada Mistrz. Gdyby był Człowiekiem, to poznałby z drżenia głosu, z bladości czoła Ucznia, że temu zgroza z duszy wygląda. Ale lodowaty jezuita odpowiada z pod zielonego rypsu:

— Milcz a ufaj!

Tak, »milcz a ufaj«, »*sicut cadaver* bądź mi posłuszny«, a potem zaraz telegrafuje się

http://rcin.org.pl

do Kloryndy. Ta przycwałowała ekspresem do Londynu, a Mistrz wezwał ucznia.

— Uczniu, kobieta, którąś z głębi rozkochanej duszy ucałował, jest tu (gest w stronę kotary, z poza której rozlega się gruby chropowaty głos Kloryndy: »Witaj, mój luby«).

Przez chwilę dwaj ci ludzie mocowali się oczyma. Ale trup w źrenicach Mistrza nie zmartwychwstał.

— Tak — rzekł martwo — to twoja żona.

— Tak — syknął Uczeń — dziwnie skurczył się i przysiadł. Potem rozprężył się, skoczył i p o ż a r ł Mistrza.

— Pożarł Mistrza?

— Tak? Czy to pana dziwi? Mniemał, że Mistrz prowadzi go ku głębokim źródłom życia, a ten knuł tymczasem piekielny zamiar: sprząc go na zawsze z Kloryndą. W jednem mgnieniu przejrzał, potępił swe bałwochwalstwo i pożarł swego bożka. Szlachetny entuzjazm — nic więcej.

Niestety, sprawiedliwość społeczna chadza zazwyczaj najbanalniejszemi gościńcami. Sąd przysięgłych skazał entuzjastę na pożarcie przez krokodyla.

— Ha, więc to pan podjąłeś się dostarczyć krokodyla?!!

— Tak, na koszt wielbicieli Mistrza i zaręczam panu, że zedrę trzy skóry z Braci i Sióstr

http://rcin.org.pl

Kamforowych Mniejszych. A że wysoce cenię porywczego ekstatyka, więc wybrałem krokodyla ze znakomitą przeszłością — tego właśnie, który był pożarł trzech dostojników egipskich z orderami. Przytem klauzula dodatkowa wyroku jest wprost wspaniała!

»Jeżeli po pożarciu Ucznia, krokodyl będzie okazywał apetyt, to ma mu być rzucona i Klorynda...«

I oto głodzę z zapałem żarłoka-płaza i jestem pełen różowych nadziei.

Zanucił wesoło, a kiedy umilkł, spytałem:

— Czy krokodyla odwiezie pan z powrotem do Nilu?

— A... a... nie. Zostanie on zabity — jeżeli sam nie struje się Kloryndą — zabalsamowany i wystawiony w muzeum pamiątek po Mistrzu, które się już buduje. O, sprzedam go drogo, zedrę trzy skóry z Braci i Sióstr Kamforowych Mniejszych. Będzie to dla nich relikwiarz, bo w krokodylu, jak w sarkofagu, spocznie ostatecznie Mistrz, pochłonięty przez Ucznia.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ZMIERZCH
STANISŁAWA AUGUSTA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Stanisław August dźwignął się z fotelu. Tego dnia nie mógł się zdrzemnąć, jak zwykle przed obiadem. Wiatr jesienny wył i rozpraszał dymy nad ponurem miastem. Eks-król w szlafroku tureckim, z głową o włosach srebrzystych i rozwichrzonych, z twarzą pomiętą i żółtą, zasiadł przed zwierciadłem. Stary kamerdyner ubrał go, ogolił i upudrował. Potem rozwarł podwoje, niemym gestem zapraszając króla do jadalni.

Ale Stanisław August odmówił. Nie miał apetytu. Czuł się starym i znużonym. Wyszedł innemi drzwiami. Zeszedł do ogrodu po kilkunastu stopniach schodów kamiennych.

Tu, obróciwszy głowę, eks-król znów ujrzał za sobą troskliwego pokojowca.

— Dziękuję — rzekł — nie potrzeba mi nikogo.

Opierając się nieco na lasce, zdetronizowany kroczył sam wysoką, pustą aleją. Liście szemrały w górze i szeleściły pod nogami. Ogród wyglądał pstro a posępnie.

Rozległ się odgłos w krzakach i jakby szept ostrożny. Tak się wydało eks-królowi.

http://rcin.org.pl

Obrócił się, przystanął. Stuknął laską w mocno ubity żwir.

— Kto tam? — zapytał, podnosząc brwi.

Nikt się nie odezwał. Stanisław August postał i ruszył dalej.

— Wolałbym, żeby tam nie było nikogo — mruczał. Jestem dziś bardzo stary. . Mruczę, jak baba... Pod lewem kolanem mnie boli... Zawsze na lewą stronę więcej cierpiałem, niż na prawą. Czy dlatego, że serce mam dobre? Odrzućmy przesądy i domysły godziwe dla gawiedzi. Naszemu uczonemu wiekowi nie przystoi łatwe wnioskowanie. Dawna pobożność upadła, ale umysły się rozwinęły. Cóż będzie jutro? Co za lat pięćdziesiąt albo za sto? Ludzkość, żywiąc się owocami i jarzynami, zażywać będzie faworów wieczystego pokoju. Uniwersalność rozleje się po Europie, a edukacja zagłuszy waśni. Oświecenie otwiera drogę pięknym latom. Ale ja zetleję pod tem niebem ponurem... Ślad mój zawieją akwilony...

O kilkanaście kroków dalej wyszła z poza drzew wysoka, czarno ubrana panna. Stanisław August spojrzał przez lornetę i wyprostował się uroczyście. Był gotów do rozmowy z damą.

Ale panna przeszła na ukos i utonęła w bocznej alei.

http://rcin.org.pl

— Zniknęła szelma — burknął. — Córka ogrodnika? A może arystokratka? Chciała zobaczyć króla polskiego... Nic ciekawego.. Stary człowiek z podagrą... Nie chcę dziś nikogo... Im dalej ludzie, tem dalej złość... Towarzystwo? Czy można je mieć w nieszczęściu?

Tak mrucząc, Stanisław August skręcił w boczną aleję, gdzie przed chwilą zniknęła młoda osoba. Obejrzał się poza siebie. Uśmiechnął się żałośnie.

— Niema nikogo... — szepnął — pójdźmy dalej...

Ukazała się sadzawka okrągła, śpiąca, zarosła rzęsą. Pośrodku bujała z wiatrem wysoko zachwaszczona wysepka i bielała napół ukryta w brzozach świątyńka, jedna ze świątyniek owoczesnych, poświęcanych: »Amori et amicitiae«. Wątły, kabłąkowaty mostek z chwiejną poręczą wiódł na wyspę.

Eks-król postawił nogę na pierwszej zaklęsłej desce. Uczuł przez cienką podeszwę miękkość próchna. Cofnął nogę i zżymnął się niecierpliwie.

Uszedł znów kilka kroków. Stanął i zwiesił głowę nad kompasem, niewskazującym godziny, bo słońce się ukryło.

Wiatr zadął, posypały się liście. Stanisław August poszedł dalej.

http://rcin.org.pl

Nagle, jakby wyrosły z krzaka berberysu, stanął przed eks-królem człowiek mały, żwawy, z twarzą ptaka, z nosem filuternie czerwonym. Wyglądał, jakby tłumił nieustanny wybuch śmiechu. Jego rude bokobrody lśniły rzęsistem zadowoleniem.

— Sire — zaczął radośnie i uroczyście — w trosce o zdrowie wasze proszę i nalegam o powrót do stołu. Obiad w kółku bardzo poufnem: na cztery nakrycia... *Mens sana in corpore sano*...

— Nie mam apetytu — rzekł eks-król.

Człowieczek zrobił minę zdziwioną. Wziął dłoń Stanisława Augusta. Namacał puls w kostce. Tymczasem zdetronizowany zapytał:

— Konsyljarzu, czy sądzisz, że mnie tu śledzą?

— Puls dobry — odparł zapytany. Wygląda Sire świetnie. Cera świeża... Oko żywe i ufne...

— Konsyljarzu, czy znasz historję Polski?

— *Et in Arcadia ego*... To piękny kraj... Kraj z wielką przeszłością... Sobieski ocalił chrześcijaństwo.

— A Poniatowski?

— Poniatowski ocalił sztukę... upolerował Sarmatów... pobudował pałace, teatry... założył ogrody...

http://rcin.org.pl

— Czy sądzisz, konsyljarzu, że sztuka ocali Poniatowskiego?...

Ceglasty rumieniec wystąpił na lice detronizata...

— Dostojny panie, nie wolno wam się wzruszać.!. Wiecie o tem... Kłopot rzecz niezdrowa... *Periculum in mora*... Raczcie przyspieszyć kroku...

Doktór ujął pod rękę Stanisława Augusta i prowadził ku schodom. Eks-król mówił:

— Moje Łazienki są arcydziełem... Wieczory czwartkowe... Literatura... Komisja edukacyjna... Konstytucja Trzeciego Maja... Pamiętne daty. Będą wspominać o mnie... Jak?

— Jako o dobrym królu, Sire...

— Byłbym dobry, gdybym nie był ostatni... Ale jam ostatni... Prawda?

Doktór udał, że nie słyszy. Pomagał ekskrólowi wchodzić pod górę.

W jadalni paliły się już świeczniki. Ananasy płoniły się uroczyście na wysokich podstawach, których trzony wyobrażały Grację w uścisku. Dwie osoby powstały na powitanie Stanisława Poniatowskiego. Piękna trzydziestoletnia kobieta i ciężki biurokrata w galonach i okularach.

Natychmiast wniesiono wazę, a kobieta-Francuzka, hrabina D. zaczęła żwawo szczebiotać. Głowę o jasnych włosach, posypanych

http://rcin.org.pl

pudrem zielonym, zwracała żywo na prawo i na lewo. Biurokrata siedział w twardem milczeniu. Doktór odpowiadał, potakiwał i gestykulował. I eks-król się wkońcu rozchmurzył. Rozpytywał o balet i dwa razy dobierał sobie kremu. W miarę jak nasycał żołądek, weselał Stanisław Poniatowski.

— Likieru! — zwrócił się do doktora głosem łakomym.

Doktór zaprzeczył głową i złożył ręce błagalnie. Dostojny pacjent uśmiechnął się lekceważąco.

— Mnie już nic nie zaszkodzi... Nic, konsyljarzu...

Doktór westchnął głośno i rozłożył ręce, jakby mówiąc: Robię, co mogę...

Eks-król wypił chciwie kieliszek jeden i drugi lepkiego, zielonego płynu.

Doktór westchnął znów głośno i szepnął:

— *Alea jacta est...*

Usta eks-króla nabrały koloru i świeżości, jakby odmłodniały.

— Klima północne nie służy mi — rzekł mgle, jakby kończąc rozpoczętą z sobą roznaowę.

Powiódł okiem po obecnych.

Doktór puścił uwagę mimo uszu. Biurokrata zwolna zwrócił szeroką, płaską twarz

http://rcin.org.pl

i spojrzał na hrabinę, która, jakby uderzona prądem elektrycznym, zawołała:

— Ach, Sire, wyglądacie przecie świetnie!

Eks-król drgnął i zamknął oczy, czekając, co hrabina powie dalej. Ale ona przeciągłym, złocistym wzrokiem zaczęła się mocować z wypukłemi białoniebieskiemi oczyma biurokraty. Ten człowiek o twarzy rażąco pulchnej i białoróżowej, jak u dziecka, drażnił ją. Zaprawiona do zalotów i podbijania ludzi zarówno dobrych, jak przewrotnych do szpiku kości, tego nie mogła usidlić. Oczy biurokraty zalśniły ekstatycznym mrozem, a potem zagasły i zamieniły się w mokre, beznamiętne trzewia raczej, niż w źrenice człowieka, odkupionego śmiercią Zbawiciela. Hrabina odwróciła głowę zniechęcona.

Schyłek obiadu był cichszy. Stanisław August spoglądał czule na milczka, jakby usiłując go zjednać.

Wreszcie ciężki człowiek i doktór złożyli głębokie ukłony. Eks-król i piękna kobieta pozostali sami.

Hrabina siedziała nieruchomo.

Stanisław August przymknął oczy. Zdawało się, że drzemie.

Nie mogąc się doczekać wezwania, hrabina podeszła drobnemi krokami i wzięła w dłonie obie ręce eks-króla.

http://rcin.org.pl

— Czy aby jesteśmy sami? Czy jesteś tego pewna, przyjaciółko?

— Tak... nie lękaj się niczego... oprzyj się na mnie... Chodź... Jestem silna...

Przeszli oboje aż do sypialni, nie spotkawszy nikogo. Wicher wył na dworze, wstrząsał ramami okien.

— Posępne miasto, słotne i posępne — szeptał Stanisław August. Znużenie mnie ogarnia. Położę się. Jestem dziś chory. Ale to przejdzie, prawda?

Hrabina pomogła eks-królowi lec na łóżku.

— Siądź przy mnie... Daj mi rękę... Chcę wiedzieć, czy dziś jesteś dobra...

Hrabina spełniała życzenia ulegle. Eks-król szepnął, patrząc na nią badawczo:

— Potrzebuję dobroci...

Oglądał jej dłoń, przypatrywał się linjom na odwrocie...

— Ufam kobietom o pięknych rękach. Bywają dowcipne i dobre... A ja potrzebuję dobroci... wielkiej dobroci.

Hrabina zalotnie uścisnęła dłoń eks-króla.

— Dziękuję, nie zapomnę o tem nigdy... Dziwna historja mego życia... Wzywają mnie na tron. Czym się powinien był oprzeć? Czym powinien był umrzeć?...

Podniósł głowę z poduszki. Hrabina

http://rcin.org.pl

uśmiechnęła się naiwnie i skinęła głową potakująco.

Stanisław August upadł na posłanie. Leżał tak stary, znużony, zmięty. Wyciągnął dłoń i jak ślepiec szukał ręki kobiety. Podała mu swoją. Zatrzymał ją i po kolei ściskał jej palce. Łza spłynęła mu z oka i stanęła na policzku.

Hrabina, nie wypuszczając dłoni z ręki królewskiej, wyjęła miękką białą chusteczkę i otarła tę łzę jedyną.

— Król nie przeżywa swego państwa — szepnęła. — Twoje miejsce było z Kościuszką pod Maciejowicami. Żyłbyś w pieśniach Polaków...

Stanisław August rozwarł oczy szeroko. Patrzył niemal ze strachem na usta figlarnie wycięte i na marmurowy spokój wysokiej szyi.

— A może ty żartujesz? — zapytał, szukając jej wzroku, podczas gdy ona, uchylając się oczyma, podawała mu ręce. — Może to jest inaczej? może to będzie inaczej? Wszystko się zmienia: czasy, ludzie, cnoty... Po czarnej nocy słońce wyziera. Któż z nas bez winy? Cóż ja? Chciałem Polski mądrej, oświeconej... chciałem odnowić... Czy będę pamięć miał potępioną? Za lat sto, piękna moja przyjaciółko, nowe czasy zakwitną... Park Łazienkowski wybuja... Może męstwo Polaków i szlache-

http://rcin.org.pl

tność naprawią zło, a młody kawaler polski, gdy zefir wiosenny owionie drzewa, wspomni wdzięcznie zabiegi oświecone Stanisława Augusta...

— Świat jest twardy, Sire, a myśli wasze miękkie.

Chwilę trwało milczenie. Przerwał je eks-król.

— Mów dalej — szepnął — ciszej mów, ale mów dalej...

— Królu, ciebie wszyscy już potępili...

— Opiekowałem się sztuką... nauką... chciałem wolności... oświaty...

...tak... wszyscy... Lekarz, co cię leczy; lokaj, który drzwi ci otwiera; stangret i hajduk, co cię wiozą; kucharz, co ci przyprawia potrawy... A tam, w Polsce, myślą o tobie z męką, z nienawiścią, z politowaniem .. Któż się za ciebie modli? Kto ci przebaczy?

— Tak, któż mi tam przebaczy? Ale co miałem począć, co?

— Umrzeć...

Hrabina podeszła do zwierciadła i oglądała swe bujne, niesforne włosy. Eks-król znów zamknął oczy...

Po chwili milczenia odezwał się płaczliwie:

— Zbliż się do mnie... proszę... Kiedy mnie ukoronowano... przysięgam... chciałem

http://rcin.org.pl

być dzielnym królem .. Ale dni ześlizgiwały się w przepaść, a ja leciałem wraz z nimi. Wszystko sypało się w gruzy... Przemoc nas zmogła... Czemu jam ostatni? Polacy błogosławiliby pamięć moją...

— Fortuna wasza, Sire, nie była opłakana. Niejednej Wenerze wręczaliście złote jabłko...

— Śnił mi się Chrobry — rzekł Stanisław August. — Padłem na twarz... włosy mi powstały...

— Takie sny miewasz, Stanisławie Auguście — i korzysz się... No, no... Nie wiedziałam o tem...

Eks-król zamilkł. Hrabina usiadła blizko i patrzyła nań okrutnie. Łza znów wypłynęła z pod powieki zdetronizowanego i stanęła na licu nieruchomo. Hrabina zebrała ją koronkową chusteczką.

Poniatowski rzekł, nie podnosząc powiek:

— Kiedy tak oczy zamknę i kiedy bardzo płaczę w piersiach, widzę pod powieką łuny pożarów... Straciłem młodość... zacność... nadzieję... Państwo runęło... Nie umarłem w porę... A teraz jestem sam... sam winowajca i może ostatni...

Hrabina zwolna rozjaśniała twarz dobrym uśmiechem.

— No cicho — rzekła — cicho. Jesteś ze

http://rcin.org.pl

mną... Powiedziałam ci wszystko... raz trzeba było wypowiedzieć... Patrz, jak cię sądzą!... Ale czyż śmiałbyś wątpić o mnie? Czyżbyś śmiał pomyśleć, Stanisławie, że mówiłam od siebie? Podnieś głowę... nie dręcz się urojeniem... Wyniesiony na królestwo chimeryczne spadłeś z tronu chimerycznego. Piorun historji strzaskał ci koronę... A ja wydzieram cię dziejom i zaprzepaszczonemu królestwu.

Zamilkła, badając steraną twarz Stanisława Augusta skrzącemi się oczyma.

— Wyznam tajemnicę i dziw przed tobą — rzekła wreszcie, obejmując ciepłemi dłońmi czoło eks-króla. Posłuchaj: ty śnisz mi się nocami, jak bajka młodej dziewczynie...

Stanisław August siadł na łożu:

— Dziękuję — rzekł, niosąc rękę hrabiny do ust — dziękuję i nie zapomnę o tem nigdy. Już mi lżej... nie odchodź, pani, ode mnie. Cóż miałem począć? Śmierć byłaby też naprożno. Śmierć zawsze przychodzi z pustemi rękoma. Śmierć jest nicością, a nicość nic nie sprawia, nieprawdaż? Nie za górami ona dla mnie. Kiedy wybije godzina ostateczna, zamknij mi oczy. Z myślą o tobie zejdę do grobu...

http://rcin.org.pl

EUROPA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

O białe, kredowo-białe kamienie przydrożne, wyście widziały me pięty połupane i wyszczerzone z nad grymaśnie powykręcanych rudych obcasów! O, masy domów śpiących, ciężkie kamienne kolosy limfatyczno-kapitalistyczne, zarumienione tu i owdzie oknem, gorączkującem bezsennie — jakże wy głuche jesteście na chrapliwy jęk mej piersi rozbitej a obwisłej!

Tak szemrze Europa — ta sama, którą niegdyś Zeus porwał w kwiecie młodości i wdzięku — ongi ideał, dziewica zachwycająca, niemal westalka, dziś — niestety! — tylko podszargana wszetecznica. Nawet Zeus, ten bóg najwyższy, a w dodatku klasyczny, nic jej nie pomógł! Oddała się nierządowi, ukręciwszy łebka wszystkim innym popędom, nieco szlachetniejszym!

»O, jaka ja byłam piękna — powiada w ów wieczór mglisty, jesienny, kuśtykając po mieście i oczekując, który brzuchacz trzeźwo myślący ją kupi—jaka ja byłam piękna w ów dzień wiosenny, kiedy Zeus mnie porwał! Zbierałam kwiaty na brzegu morza. Gdym siadła na grzbiecie okazałego, śnieżnej białości

http://rcin.org.pl

byka, o rogach diamentowych — co za cudny był to samiec! — gdy zaczął mnie unosić, brnąc przez fale, fiołki mi się rozsypały, a ja płakałam z żalu za kwiatkami i z obawy przed zgwałceniem. (No, to zgwałcenie nie było znów tak straszne!«)

Tymczasem deszcz zaczyna padać i kiecki Europy zwolna nasiąkają wilgocią. Przystaje pod latarnią, aby je wyżąć. Podnosi oczy bezgranicznie apatyczne i spostrzega, że to latarnia elektryczna.

— Ach, co za niesprawiedliwość — prawi — że świat dostojniejszy tak mną pogardza! To ja przecie wynalazłam elektryczność, gramofon, tandetę towarową, rozboje kapitalistyczne, grzeczną zasadę niemieszania się jednego państwa do świństw wewnętrznych drugiego, armaty Kruppa, aeroplan... Któż mi zaprzeczy, że jest w tem rzetelne zło i dobro. A jeśli przypomnę niewdzięcznym, że to ja wydałam na świat to dziecię, marnotrawne, niewiele rezonujące — Napoleona i wielu innych synków interesujących, to będę chyba miała prawo do wylania kilku łez rzewnych nad cierpką niewdzięcznością...

Tu Europa zaczyna szlochać: u-hu! u-hu! u-hu! a uczyniwszy to przez odpowiednią ilość chwil niepowrotnych, wlecze się dalej, czekając cierpliwie, z zaparciem się, na nieza-

http://rcin.org.pl

wodnego nigdy brzuchacza porządnie przeżuwającego...

Tymczasem wdaje sią z nią w rozmowę chudy filozof. Oto jej urywek:

— Moja pani — mówi filozof, drepcząc przy niej po kałużach, rozpryskujących się pod krzywemi obcasami — trzeba przyznać, że nie stety, z tą zimną logiką i logicznością lodowatą zabrnęliśmy za daleko. Jesteśmy tak rozsądni, że ostatecznie jest to bardzo na rękę piekłu. Tylko to, co się podoba piekłu, nie uchodzi za mrzonkę. Czyby nie można jednak wrócić do młodości, do żywiołu, do fal morza błękitnych, jak kwiaty, któreś pani pogubiła, gdy cię Zeus porwał?...

Europa prowadzi go pod latarnię i rozsunąwszy mokre łachmany, ukazuje mu górne pół tułowia, gdzie niegdyś na cudnem tle alabastrowem wznosiły się dwa pagórki, zakończone różowo.

Niestety! teraz ani śladu tych przepychów... Poprostu: kto szuka piękna, nie ma tu na co patrzeć. Ciało obwisłe, pokryte niknącemi, lecz nieznikającemi plamami wątrobianemi — jakby pordzewiało miejscami. Na szyi żyły pęcznieją, jak sine postronki. Znać na tym kadłubie szynkownię, ślinę i gabinety pasorzytów dyplomatycznych. Słowem: wszystko to więdnie i cu-

http://rcin.org.pl

chnie! Nie można tego dotknąć, ani tembardziej powąchać...

— Jak pan sądzi — pyta — czy to jest dobre podłoże do rozwoju marzeń uszlachetniających?... O, moje doliny i kwiaty... O moje rówieśnice pięknoramienne, z któremi igrałam niegdyś niewinnie na brzegu morza, z któremi niegdyś bawiłam się muszelkami! (Czy też te dzierlatki wszystkie się popuszczały?) O, mój Zeusie! O, moja ty czystości dziewicza! (Ta dopiero była dużo warta, co?) Nie, nie, nie... Jesteśmy ześwinieni po całą wieczność, jak, zdaje się, mówi Nietzsche, ten najzacniejszy z moich urwisów w czasach ogólnej poczciwej prostytuomanji...

— Ostatecznie są lekarze — bąka filozof zawstydzony — jest nauka, wiara, sztuka, nadzieja... Można spróbować... Może się da jeszcze co ocalić .. Czyż spodleliśmy do cna... do rdzenia?... Czyż nie możemy być groźni? Czyż nie mamy grzechotników hałaśliwych, na których widok można dostać gęsiej skórki — o ile się nie stoi po naszej stronie?

— Istotnie — zgadza się Europa — trafić z armaty poważnego kalibru w samo sedno obcych nam kombinacji idealnych — to może pokrzepić ducha nieco roztrzęsionego...

Tu Europa nagle odbija się piętami od ziemi, gdzie przed chwilą kucnęła w strapieniu,

http://rcin.org.pl

zapomina o filozofie, jego optymizmie i chudych gnatach i powstaje, bo na zakręcie ukazuje się brzuchacz, trzeźwo myślący i krzepko przeżuwający. W mgnieniu oka staje się damą w średnim wieku, raczej zalotną niż skromną, ubraną bez zarzutu, w woalce, opartej na nosie przypudrowanym.

Co było w niej groźnie zbrukane, cofnęło się w głąb, ustępując miejsca zaletom nieokreślonym, lecz ponętnym. Płeć jej nie jest świeżości liljowej, atoli obiecuje pewną rozkosz perwersyjną. Miejsca, zasinione od nocy bezsennych i alkoholu, zaprószone pudrem przymilkły. Obraca oczy w górę, jakby chciała dwie filiżanki czarnej kawy ofiarować drodze mlecznej.

— No, teraz, dopiero zacznie się duet — myśli Europa, podczas gdy podaje jej rękę brzuchacz, porządnie przeżuwający myśli i pokarmy — ten człowiek, który mawia o sobie:

— Nie umiem oddzielać duszy od ciała, to jest — nie mogę puszczać się byle z kim... A to tak kosztuje, moja droga...

— Jako ludzie rozumni, którzy wiedzą, że nie ominie ich majonez, ciepłe łóżko i nocnik we właściwej porze, pogadajmy trochę o interesach — proponuje on.

— Ja myślę tak samo — mówi ona. — Otóż, mój drogi, jak ci dziennikarze kłamią,

http://rcin.org.pl

jak oni łżą niebotycznie! (Choć ostatecznie niewiadomo, czy prawda nie jest jeszcze nudniejsza?) Ci bezczelni gazeciarze łżą, jak najęci, wypróżniając się codzienie sparciałą miazgą gadaniny, którą eufonicznie zwą — troską o dobro kraju. Doprowadzili do tego, że prawda nabiera niesłychanego waloru — jak to się mawia w naszych czasach — jest kwiatem najrzadszym — egzotycznym, o zapachu tak upajającym, że na jej widok poczyna kichać nos najodporniejszy...

— Ale cóż nas to obchodzi... te ceregiele tasiemcowe — sączy brzuchacz. — My przecie jesteśmy szczęśliwi?... Więc pomówmy o wartościach istotnych...

— Masz słuszność zupełną — pomówmy o interesach...

Wchodzą do zakładu nocnego, z którego potoki czerwonego światła wylewają się, jak wyziewy trujące i poczynają obmyślać kombinacje giełdowe.

Spiskują po nad głowami osób śpiących wtedy spokojnie i dusznie po poddaszach, suterenach i innych zakamarkach nędzy, znoszonej stoicznie. Przy głuchych szeptach odbywa się ceremonja przesuwania owoców pracy z rąk nieopatrznych w chwytne...

Kiedy spisek uknuto, zaludniacz cmentarzy wpatruje się błogo w rożek światła gazowe-

http://rcin.org.pl

go, osłonięty różową umbrelką, a Europa w jego oczy. Widzi, jak od dna tych oczu odrywają się męty, fusy, grzęzy, lecą ku górze, gasną i znów powstają.

Nieskończony korowód zamiarów ohydnych, które zmaterjalizowały się teraz i pędzą, kozioł-kując, ku górze w postaci kłaczków białawych, szarych, podobnych do plwocin, podobnych do bakterji tyfusu, maleńkich polipów, wywijających ogonkami, zbrojnymi w ostre, zjadliwe szczecinki, potworków o łbie rozdętym i ślepkach fosforyzujących złośliwie, czczo i głupio, bezdennie głupio!

Europa patrzy na to wszystko i ostatecznie ma ochotę trzasnąć w pysk swego adoratora o oczach kloacznych. Lecz on przeczuwa jej zamiary. Kładzie kosmatą rękę na jej dłoni, na dłoni damy, której palce wypieszczone, o paznokciach poddanych specjalnej hodowli, bladokrwistych, ostrych, bezwzględnych, kwitnących, jak wypieki suchotnicze, tropicielskich a trupich zarazem, i tę dłoń pogrąża w kabzie ze złotem, z którem nie rozstaje się nigdy.

Europa przebiera palcami w złocie i ogarnia ją bezwładność zupełna, błoga ociężała tępość i odurzenie rozbrajające kobiety dobrze wychowanej. (O, gdyby tak teraz zabrzmiał *Danse macabre* — *Saint-Saïnsa* — jeśli się nie mylę!)

Lecz tę miłą idyllę przerywa łoskot bębnów,

http://rcin.org.pl

warczenie głuche, podobne do przebudzenia się zgrai psów rozzłoszczonych, i bum! bum! armat, które zaintonowały *De Profundis*.

— Na spróchniałe zęby dekadenta — ryczy brzuchacz-ludożerca — to ludy bałkańskie zaczęły rozmowę z Wielką Portą! O, dyplomacjo z gębą wyparzoną a niedbałą! O moje drogie kapitały, bez których, prawdę mówiąc, żyćbym już nie mógł...

To zaryczenie armat działa na znieprawioną duszę podstarzałej wszetecznicy niby dreszcz wspomnień wspaniałomyślnych. Dygocze i łzy mętne, jak serwatka, toczą się z jej oczu.

Brzuchacz drży również. Jego łydki latają w strachu panicznym: tak go przejmuje troska o papiery procentowe, ukryte w podziemiach banku Zjednoczonych Chirurgów (choć, właściwie, ich specjalnością jest tylko — obdzieranie ze skóry).

Wreszcie, widząc łzy w oczach Europy, tłumaczy je sobie najopaczniej i w nagłym porywie wdzięczności:

Z kwikiem dokłuwanego prosięcia
Rzuca się w jej objęcia...

Lecz nawet Ziemia ma już tego dosyć. Rozwiera się i pochłania oboje.

http://rcin.org.pl

ORFEUSZ I EURYDYKA

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

...Skoro jestem tak czarująca, to mógłby pan napisać dla mnie poemat prozą. Naprzykład, o Orfeuszu i Eurydyce. Pociąga mnie ten temat. Ona tak młodo umiera, ukąszona przez węża... On — wielki artysta... To mogłoby być piękne... To powinno być piękne, bo ja tak chcę...

— To będzie piękne, skoro pani tak chce. Tylko nie będzie tam ani Hellady, ani naprawdę mitologji, ani greckiego powietrza... Będzie to piękno, odbijające się w wypaczonem zwierciadle naszych czasów. Będzie to piękno chichoczące. Pani nie lubi chichotać?

— Nie, chichot przejmuje mię zimnym dreszczem...

— Trzeba go polubić na dziś przynajmniej albo umrzeć... Jutro już może będzie go można odrzucić — dziś jeszcze nie...

— To tylko zepsucie przemawia tak przez pana.

— W każdem uniesieniu chciałem dobra i głębokiego piękna... I oto każde załamywało się wśród łez gorzkich i wśród chichotu...

* * *

http://rcin.org.pl

Ujrzałem orlicę, zrywającą się ze skały... Potem cień jej przeleciał dołem koło mnie, cichy i melancholijny... Czyżby to była Eurydyka? Czyżby to ona chciała spojrzeć na mnie? Czyżby dozwolone jej było raz tylko spojrzeć i ulecieć ptakiem-orlicą, gdy ja sam zostaję?

Gdym drzwi mego domu zamykał, widziałem jej oczy, jakoby w chmurach dalekich gdzieś lecące...

* * *

Obudziłem się w nocy. Księżyc stał wśród szarych obłoków, jak chore światło na moczarach. Smutny, opuszczony, bezczynny i bezradny księżyc... bez drogi! Siadłem na łożu... Objąłem głowę rękoma. Palcami dotknąłem oczu. Były suche i palące. Nagle myśl o Eurydyce — i uczułem wilgoć okrągłą łez, zbiegających po twarzy... Eurydyko — mówiłem — moja droga Eurydyko — wróć do mnie. Eurydyko z kwiatem w ręku, Eurydyko z uśmiechem na ustach — wróć do mnie! Eurydyko, ty, coś mnie kochała, Eurydyko, ty, coś rzekła: »Przyszłam do domu i uśmiechnęłam się do stołka, na którym siada mój Orfeusz, mój miły pan Orfeusz, kiedy pisze — na czem — powiedz mi — leży teraz twoja głowa... na czem włosy, które całowałem tak gorąco!...

* * *

http://rcin.org.pl

Milczenie tylko odpowiada Orfeuszowi. Napróżno podnosi głowę i woła trzykrotnie: »Eurydyko«, zwracając się w stronę ciężkiej purpurowej zasłony. Ach, może ona tam jest — za kotarą. Nie, niema jej tam, niema! A księżyc stanął jakby wśród topielisk, nie wiedząc, kędy iść i komu świecić. O, jaki smutny był księżyc i zamyślony. Jakby krew zwarzoną miał w sobie. Jakoby mgłę konania w źrenicach. Jakoby bladość twarzy umierającej... Jakoby grobu rozległe milczenie... O, Eurydyko, w grób strącona przez węża... O moje serce bezradne!... O, duszo moja osamotniona...

* * *

Niegdyś, kiedy to było nie wiem, bo myśli mi się mącą, widziałem piękną dolinę,..

Tam cisza lśni... Motyle zgrają
Nad kalinami tam fruwają...
Migocą kwiaty, strumień płynie,
Driady nucą w tej dolinie...
Tam Eurydyce przy mym boku,
Ogień złocisty drży w jej oku...

Czuję drżenie tego ognia... Widzę go... Gdzież on płonie teraz? Czy zgasł ostatecznie?

* * *

Przyśnił mi się sen. Promienny zjawił sen... wspaniały... Zielone puszcze hen, gdzieś hen. Ogromnym głosem mnie wołały...

http://rcin.org.pl

Ale nie można żyć snami tylko i... gdy niema Eurydyki... Na chwilę owiała mnie wielkość... zielona wielkość lasu... Ale wielkość opuszcza, jak deszcz, który ustaje... A Eurydyki niema...

* * *

— Początek pańskiego poematu nie jest pozbawiony liryzmu. Są więc i w pańskiem sercu jakieś resztki uczucia. Ale któż jest Eurydyka?

— Jest córką ubogich rodziców, miała macochę i wiele od niej wycierpiała. W domu wiecznie zajęta grą na cytrze, zabawą w piłkę, wpisywaniem do albumu bylejakiej pieśni helleńskiej, cerowaniem płaszcza po Orfeuszu, który podaruje potem ubogiemu krewnemu, wyhaftowawszy na rogu różę i wyznaczywszy jedwabiem: Ceyx...

Biedne dziecko! Ogarnęła ją manja szczodrobliwości... Rozdaje, co może, a wszystko »na pamiątkę« — jakby przeczuwając śmierć w młodym wieku. Pewnego wieczoru idzie spojrzeć na gwiazdy... Złośliwa żmija rzuca się na nią i gryzie ją w stopkę... Eurydyka pada. Znajdują ją po godzinie i niosą do domu. Jest w gorączce. Lekarze, jak zwykle w takich razach, biorą pieniądze, ale pomóc nie umieją.

http://rcin.org.pl

Nagle budzi się z majaczeń. Przy niej tylko Orfeusz czuwa. Całuje go tkliwemi oczyma. Mówi: »Gdyby tak mój drogi Orfeusz wiedział, jak cierpię«...

Orfeusz poczyna łkać...

— Wybornie... Potem tęsknił po niej, potem zeszedł za nią do piekieł. Drogi piekielnej może mi pan oszczędzić... Odbywałam ją nieraz. Każda podróż koleją wydaje mi się drogą do piekła. W wagonie spać nie mogę... Co za nudy! Jaka anemja ducha — wprost skrofuliczna! Mężczyźni, których spotykałam w drodze, bywali niemożliwie banalni. Ach, ta ich senność i apatja, otulona pledem... Cóż przykrzejszego, niż odbywać podróż w zimie przy oknach zamkniętych, w towarzystwie milczących gburów i samolubów, jadących załatwiać matactwa finansowe albo polityczne?

* * *

Jakże wygląda Piekło?

Przyćmione blado-żółte światło, duszne gorące nieruchome powietrze... Karłowate, grubolistne drzewa z połamanemi gałęźmi, z których wycieka sok biały, gęsty jak śmietanka, i żółty, jak szafran. Mgła. Cienie snują się błędnie. Władcą tego państwa jest bóg Hades: średniego wzrostu, gruby, nieco pyzaty,

http://rcin.org.pl

obficie spocony, astmatyczny, w czarnej lśniącej sutannie. Żuje wanilję. Często mawia z nałogu:

Kto nie jest ptakiem Feniksem
Musi się przeprawić Styksem...

Otacza go tłum kobiet, które za życia nie odznaczały się, zapewne, zbytnią skromnością, więc i teraz pną się do osób wysoko postawionych.

* * *

— Jako bóg mogę ci wydać Eurydykę tylko na pewnych, ściśle określonych warunkach... Nie będziesz się oglądał, uprowadzając ją na ziemię. Bierz ją... Sprawia mi ona zbyt wiele kłopotu... Dwanaście razy kąpano ją w Lete, ale napróżno! Nie może o tobie zapomnieć. Ciągle tylko: »Mój ukochany Orfeusz«. Chodzi... płacze... rozwodzi żale... Głosi rozmaite sentencje... Ona mi całe piekło r o z s e n t y m e n t a l i... Ona mi hades z a o r f e u s z y...

Ale otóż biegnie w naszą stronę mój ukochany synek — Alcyphronik. Moje śliczności, moje bobo, moje caca! (Caca — podobna do pingwina z dwiema skośnemi dziurkami zamiast oczu!) Przyjrzyj się, synu, temu poecie i staraj się być zawsze całkiem innym, niż on. Rzuć ten trójząbek i nie bij papy! A czy wiecie, co to bydlątko, długie na półtora

http://rcin.org.pl

łokcia, myśli o sobie? Że jest arcydziełem urody helleńskiej. Ha! ha! ha! Jakże się poecie podoba piekło?

— Nie jest to najpiękniejsze miejsce pobytu we wszechświecie. Ale ja je sobie inaczej wyobrażałem... O wiele okropniej... Ostatecznie jednak piekło ma swoje prawa i jest takie, jakie jest. Zawsze mi się roiło, że to jedyna postać rzeczywistości niewzruszonej...

— Tak, tak, wyobraźnia jest wyobraźnią, słowa — słowami, a rzeczywistość płynie wartko i mruczy po swojemu. Ale tobie rzeczywistość nie wystarcza. Kobieta cię odpycha — gniesz się z rozpaczy, wiesza ci się na szyi — wpadasz w melancholję. Wieszcz zawsze się martwi o to, żeby mieć powód do zmartwienia. Gorąco mi — jestem spocony... Bogowie indyjscy się nie pocą, ale ja jestem bóg helleński...

Hellada-blada z morza toni
Wybłysła jasną perłą,
Posejdon objął szumne morza,
A ja — hadesu berło!

* * *

— Eurydyce — ciągnie dalej bóg Hades — cóż jest podstawą tej postaci, co jej najgłębszą naturą? Dzieciństwo, piękne naiwne dzieciństwo! Na wielkie piekła! Cóż może być czarowniejszego, niż spotkać dziecko, z którego się uczyni słodką i czystą kobietę. A potem,

http://rcin.org.pl

zaiste, dobra to rzecz docierać znów do duszy dziecinnej w kobiecie, kąpać się i rzeźwić w blaskach naiwności. Ot taka Eurydyce! Chodzi sobie teraz z półzamkniętemi oczyma, marzy o Orfeuszu, szepcze: »Mój Orfeusz, mój wielki poeta«. Biedactwo, nie wyrzuca sobie ani trochę, że, kiedy jeszcze była na ziemi, nie przeczytała ani jednego wiersza tego ukochanego Orfeusza! Wiedziała — o ty cudzie dyskretnej mądrości! — że sam Orfeusz wart jest więcej o całe niebo! Tymczasem zajrzyjmy do ceremonjantek, okpij-duszek, sianem-się-wykręcajek — to jest wogóle do płaskomądrych kobiet. Cóż widzimy? Gotowe godzinami rozprawiać o czystej formie i o woli do absurdu w poematach Orfeusza, a zasypiając tulą do piersi kant jego utworów, oprawnych w oślą skórę. A Eurydyka tuliła do piersi żywego, ognistego Orfeusza. Pochwalam jej stanowisko. Tak to się robi, kiedy się ma duszę jędrną i ciało różowe. Eurydyka płomiennemi oczyma widziała duszę Orfeusza, lecz duszy tej nie ujrzą przenigdy przyrudziałe na duchu rozprawiaczki:

O przemądrzałki, źle się bawicie,
Orfeuszowi chodzi o życie,
A wam się zdaje, że wierszy zwój
Może to sprawić, co sprawia znój,
Kiedy się sprawę życia podejmie
Nie elegancko ani uprzejmie,

http://rcin.org.pl

Nie finezyjnie ani fikcyjnie,
Nie absurdowo ani pionowo,
Ale w zachwycie, siarczyście tak,
Aż duch się zmieni w płonący krzak,
W którym i Boga nie będzie brak.

Ha! ha! ha! Damy zarumieniły się po białka! Rżą z uciechy, ale się płonią! Na szatana! precz z obłudą! Lubię, kiedy powierzchnia ziemi zaludnia się przyszłymi lokatorami piekieł...

* * *

Ale otóż i Eurydyka — oto i ona, nareszcie! Błądzi cicha, skupiona, wyniosła, piękna i samotna. Na olśniewająco-białej, połyskującej, łuszczącej się serwecie nieśmiertelników ponuro-szafranowe i ciemno-czerwone przykrego odcienia asfodele układają się w słowa: »*Ukochanemu Orfeuszowi — Eurydyka*«.

I te napisy idą w dal piekielną, aż po ostatnie kręgi białych łuskowatych łanów!

Jest śmiertelnie samotna i smutkiem wyczerpana, ale przeczucie, jak wiatr najsłodszy szepcze jej w samo serce: Orfeusz blisko.

Nagle ujrzała go! Wydaje srebrny okrzyk radości, okrzyk srebrny, różowy, skrzydlaty! Okrzyk od płomienia żarliwszy, jakiego nigdy dotąd nie słyszało Piekło.

A inne dusze, do których nie przyszedł nikt żywy, łkać poczynają beznadziejnie.

* * *

http://rcin.org.pl

Dwoje szczęśliwych, objąwszy się czule, odchodzi zwolna. Bóg Hades szepcze do Orfeusza:

— Czy w najtajniejszej głębi ducha nie czujesz się bardzo biednym? No, bo powiedz, czy nie spełniły się twoje marzenia?

Zamiast odpowiedzi — ciche żarliwe pocałunki na ustach Eurydyki, od których krew jej nabiera mocy płomienia.

Lecz mimo to zakochani odchodzą i znikają ostatecznie wśród szyderczego chichotu Piekieł, pewnych zwycięstwa . . . . .

. . . . . .

— Niechże mi pan powie jak najprędzej, dlaczego ten niedorzeczny Orfeusz obejrzał się na piekło i utracił powtórnie Eurydykę?...

— Droga pani! Czyż pocałunek nie jest znakiem i wołaniem rozpaczliwej tęsknoty? Naprożno Orfeusz pocałunkami chce zagłuszyć niepokój. Za wiele marzył o Eurydyce, więc nie odnajdzie już jej nigdy... Czując piękne ramię Eurydyki rzeczywistej, chciałby powrócić do piekieł po Eurydykę wymarzoną. Trzeba pani wiedzieć, że Orfeusz, jak każdy prawdziwy mężczyzna, kocha Eurydykę najbardziej wtedy, kiedy jej niema. Kiedy Eurydyka się zjawia, obraz wymarzony i rzeczywistość nie zlewają się całkowicie. I dlatego to pocałunki są wołaniem na trwogę — ze

http://rcin.org.pl

strony Orfeusza, oczywiście, bo Eurydyka nigdy się nie czuła szczęśliwszą...

Następuje katastrofa... Ale zaledwie utracił Eurydykę, pada złamany boleścią i poczuciem winy bezgranicznej. Niech pani będzie zupełnie spokojna. On się już nie podniesie, on nie przeżyje nowej rozłąki z Eurydyką. Z ziemi powstanie zaledwie cień dawnego Orfeusza. Wyrzuty sumienia zniszczą go. Nieustannie rozdzierać mu będzie serce odgłos jej upadku w głębiny piekła. Nieustannie, w wieczory bolesne i w noce głuche a dotkliwe, powtarzać sobie będzie:

— Dlaczego nie pokochałem jej jeszcze głębiej? Niestety! Odepchnąłem rzeczywistość nawet w cudnej postaci mojej Eurydyki i nie umiałem się oprzeć marzeniu. Marzenie podkopało mnie! Marzenie strawiło mnie! W godzinach, które krwią opływają, widzę swą winę i wszystkie potęgi duszy mej nieśmiertelnej winy tej nie naprawią. I jam ukąszony przez węża, jak Eurydyce! I ja umieram! I umrę w cierpieniach straszliwych wśród wspomnień o piękności i skarbach, zmarnowanych na wieki!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

HERAKLES

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Myśl o Heraklesie i jego pracach nawiedzała mnie uporczywie. Wyrzeźbiłem jego kształty i oblicze. Uląkłem się ostateczności, żeby mu nadać tylko fatalną siłę fizyczną. Uczyniłem go genjuszem o głowie płonącej złotym żarem włosów. Jego mocne czoło okryłem skórą tak cienką i białą, jak na najwytworniejszej skroni kobiecej. Pod tą skórą i kością, wyrzeźbioną w czarę szlachetną, falowała krew i pracowała pulsująca badawczość — dzień i noc, we śnie i na jawie. Uczyniłem go szczęśliwym, bo obdarzonym wielką przepastną głębiną źrenic, które chłoną świat, i czułą przenikliwością palców, które umieją dotykać i śnić o rzeczach — pod zasłoną nieprzenikliwą dla wzroku. Czuć ciało końcem palca, niby ostrzem wrzynającego się wgłąb sztyletu; czuć gwiazdę, kładącą się na źrenicy, niby usta gorące na ustach; czuć wodę w mroku, jako wielką chłodną kobietę, którą trzeba ścisnąć w ramionach, aby krzyknęła i zapaliła się życiem; czuć wiatr we włosach, jak przyjaciela; oglądać ogień na górze, jak brata — to umiał mój

http://rcin.org.pl

Herakles. Bywał on samotny w długich godzinach, gdyż śniły mu się owoce zbyt wysokie. Był mądry, więc z darów życia nic nie odrzucał. W cieniu jego postaci wędrowiec czuł, jak rozkrzepły miód szczęścia leje się w znużone serce.

* * *

Kiedy stanął na rozdrożu, niebo przysłoniło się czarnemi chmurami i błyskawice, jak tygrysy, zaczęły skakać i szaleć ogniście w zagniewanych otchłaniach. Wiatr powiał. Z milczeniem na ustach zjawiła się w blasku złotym wielka Cnota, o kruczych włosach, puszczonych w dół, obfitych i milczących. Jej mądre czoło osłaniał djadem z kwiatów i świeżych liści. Jej spokojne osłonięte piersi miały u szczytów dwa małe słońca płonące, wypieszczone rękoma bogów. Stała w kręgu cichego światła, które napawało serce Heraklesa kojącą błogo ufnością.

Po drugiej stronie stanęła w blasku czerwonym Rozkosz. Jej włosy, kipiące uniesieniem, wiły się w zaplotach niecierpliwych. Dwie zielone żmije czołgały się naokół jej głowy, sycząc i otwierając paszczęki. Złoty łańcuch podtrzymywał suknię szafranową, rozpiętą na przodzie. Pierś jedna stała, ujęta w siatkę purpurową, a druga zasłonięta była piórem pawiem, którego oko patrzyło na Heraklesa ze szczytu, niby sine

http://rcin.org.pl

słońce z śnieżnego tronu. W źrenicach Rozkoszy topiły się, rozżarzały i gasły metale, drzemiące w wnętrznościach Ziemi. Nagie kolano patrzyło z tuniki rozciętej. Na nogach jej gorzały srebrne księżyce. Jej stopy stały w nieprzeniknionym kręgu ciemności, a księżyce zdawały się wychodzić z łona najgłębszej Nocy.

Obie te niewiasty — Cnota i Rozkosz — chciały, żeby Herakles obrał drogę jednej z nich i zamierzały otworzyć usta i zabrać się do gadania. Uprzedził je Herakles.

Jam człowiek—krzyknął, a głos jego brzmiał radością, która w ból się przechyla.—Biorę was obie.

Ramiona bohatera ujęły Cnotę i Rozkosz. Ścisnęły je i zbliżyły. Jasne, wypieszczone rękoma bogów słońca na piersiach Cnoty zajrzały w miedziane ślepia żmij, sprężonych w ognistych włosach Rozkoszy. Zasyczały żmije przeraźliwie.

Herakles zniżył głowę. Ucałował mądre usta Cnoty. Ucałował kipiące wargi Rozkoszy. Puścił obie. Odszedł, jak dziecko, niepomne zabawek, które porzuciło na drodze.

Rozwinęła się noc, olśniewająca jak melodja. Słodki zapach wilgotnych liści rozlewał się nad ścieżynami. Księżyc, jakby ciśnięty wzwyż, leciał w glorji cytrynowej. Obłoki kłębiły się, jak ogromne fale mleczne. Przychylny żar,

http://rcin.org.pl

jakby tchnienie wielkich ust i piersi, lał się z góry — od tych fal białych.

Ponury gmach z głazów wyłonił się przed Heraklesem. Spiżowe drzwi zawarte były i zarosłe. Rdzawa kłódka zwisała w półmroku.

Z przejmującą miłością spojrzał bohater na tę kłódkę, strzegącą w cierpliwem milczeniu rzeczy ukrytych może od wieków. Nad drzwiami gorzał napis:

ZAMEK SZALEŃSTWA.

Lubieżna ciekawość załasiła się w piersi Heraklesa. Uczuł na ustach pocałunek, lśniący i wonny, jak wino. Ukręcił szyję kłódce, wiszącej w mroku.

Rozwarły się ciężkie drzwi. Ukazali się karzełkowie w szatach arlekinów z kolorowemi aureolami nad głową. Wyleciał, siedząc na trójzębie, brodaty wilkołak z księgą i piórem za uchem. Chmara złych duchów o twardych skórzanych skrzydłach, uzbrojonych szponami, wionęła powietrzem, ściskając we włochatych ramionach piersiste nagie kobietki, łaskotane i chichocące. Dwie anemiczne dziewice, skromne jak nabożeństwo, wysunęły się chwiejnie z ciemnej gardzieli gmachu. Jedna wyciągała ręce ku olbrzymiej jak chmura, kołyszącej się przed nią ćmie. Druga niosła w bladych dłoniach wazę przejrzystą, z której wychodziły smugi

http://rcin.org.pl

kilkakrotne, świecące kolorowo i przechylające się po łuku. Z wycieńczonym uśmiechem podała wazę Heraklesowi. Naczynie natychmiast zgasło i rozsypało się w proch. Postać niewieścia w grubej żałobie, z twarzą osłoniętą kwefem, postępowała z wielką złocistą gromnicą. Gromnica płakała gorejącemi łzami, które niby zgłoski tajemnicy padały w serce Heraklesa. Wyfruwały i wydreptywały z brzucha gmachu chmary potworków, pokrak i minjaturowych piękności, w których oczach lśniły raje i promieniały tęcze. Kadłuby ludzkie z głowami kogutów podskakiwały czupurnie i piały szyderczo koło uszu Heraklesa. Szły olbrzymy z pyskami behemotów i spiczastemi uszyma rysiów. Ich wielkie kipiące zielono źrenice obracały się jak koła młyńskie w krwawych wilgotnych oczodołach. Groziły bohaterowi uwiędłe piąstewki niziołków. Odsłaniały się nieprzyzwoicie suche szydercze kupry. Mięsiste piersi skrzydlate strzykały nań wrzącym odwarem. Wreszcie, świszcząc i stękając, wyfrunęło z gmachu żarzące się dzikiemi oczyma włochate koło i, wirując nad Heraklesem, krzyknęło:

— Gore! Gore! O, hej!

Lecz duch Heraklesa nie struchlał w tę noc tajemniczą. Troska nie ugryzła jego serca.

* * *

http://rcin.org.pl

Sędziwy las otoczył Heraklesa. I okrążyła go ćma nocy. Jezioro spało, połyskując siną falą. Bohater zwrócił się do duchów wodnych.

— Wy, wodniki, trytony i najady, żyjące w chłodnej przezroczy wód, powiedźcie, gdzie się ukryły Stymfalidy?

Duchy wód się ocknęły, podniosły się z dna piasczystego, przetarły oczy i mruknąwszy:

— Stymfalidy nie uczyniły nam nic złego— zapadły znów w gąszcze swych snów zielonych.

Herakles zwrócił się do duchów leśnych i do wysmukłych driad, żyjących w drzewach. Driady się ocknęły, podniosły giętkie ramiona i, słysząc gromki głos heroja i imię Stymfalid, rzuciły się w popłochu ku włochatym satyrom, a te zdusiły im trwożne wargi pocałunkami. Herakles zwrócił się do zwierząt, pytając gdzie się ukryły mordercze Stymfalidy. Lecz zwierzęta-jelenie rożyste, lekkonogie zające, lisy przebiegłe, rysie ostrowidze, ponure wilki i wszystko, co pełza w gąszczu, słysząc imię Stymfalid, zaszyło się struchlałe głębiej i las cały zadygotał przerażeniem. Herakles zwrócił się do sów i puhaczy, do nietoperzy i ciem, a te, słysząc imię Stymfalid, miękkiemi kręgami odfrunęły cicho wgłąb nocy. Wtedy bohater

http://rcin.org.pl

zaczął wołać Noc, aby przyszła i wyznała, gdzie śpią Stymfalidy. Noc się zjawiła, spowita w ciemną szatę fałdzistą. W ręku niosła obwisłe maki. W oczach jej stał ciemny blask, jakby z za widnokręgu źrenic ukazać się miały gwiazdy. Miękkim głosem, podobnym do spadu i lania się wód dalekich, rzekła herosowi, że Stymfalidy są jej goście i że ich nie wyda. Daje schron i nędzarzowi i zbiegłemu, ochłostanemu rabowi i łani pięknookiej i krwiożerczemu puhaczowi i posępnemu zabójcy, który ucieka przed nożem pomsty. Herakles chwycił za łuk i zagroził Nocy strzałą śmiertelną. Noc otoczyła głowę jego nieprzenikniony mrokiem i znikła. Bohater, porażony wstydem, rzucił się na ziemię i zajęczał, aż blada Jutrznia wyszła przed czasem spojrzeć na troskę syna Alkmeny. Wtem krzew się zapali blaskiem. Wyjrzą sowie oczy Pallas-Atene. Bogini pysznoramienna podaje herosowi kołatkę miedzianą. Herakles chwyta i darem potrząsa. Las drży od miedzi zgrzytów przeraźliwych. Struchlałe Stymfalidy porwały się i pociągnęły bladem zarzewiem niebios. Ich skrzydła żelazne grzmią w górze. Miedziane dzioby prują dal pobladłą. Łuk bohatera rzeź im zadał srogą. Nieliczne pierzchły na zawsze z Arkadji.

* * *

http://rcin.org.pl

Tak to Herakles srogie wyniszczył Stymfalidy, których miedziane dzioby przebijały pancerze, a lotki żelazne skrzydeł, puszczane z pod chmur, jak strzały z łuku, wybijały ludzi. O, życie bohatera, pełne wielkich czynów dla Hellady, aby szerszy i głębszy przestwór wywalczyć dla Ducha! Zadusił on lwa nemejskiego, gnębiącego Peloponez. Pokonał dziewięciogłową hydrę lernejską, gnieżdżącą się na bagnach Argolidy. Dopędził w biegu lotną łanię kerymejską o rogach złotych a nogach miedzianych. Związał i przyniósł żywcem straszliwego dzika erymantejskiego. Dwie rzeki — Alfeus i Peneus — odwrócił w biegu, a wodami ich zmył gnoje w podwórcach stadnin króla Augiasza. Uśmierzył wściekłego byka kreteńskiego. Djomeda, króla Tracji, który pasł swe dzikie rumaki mięsem cudzoziemców, rzucił na pożarcie jego własnym rumakom. Zwyciężył Amazonki i zdobył pas królowej ich, Hipolity, a w drodze powrotnej od Morza Czarnego wyzwolił nieszczęsną Hezjonę, której pilnował lubieżny potwór morski. O, hej! Zabił olbrzyma Geriona, o trzech kadłubach, sześciu rękach i sześciu nogach i zabrał mu jego byki. Zdobył trzy złote jabłka, strzeżone przez dziewice Nocy — Hesperydy — i stugłowego smoka Ladonta. Wyzwolił z piekieł Tezeusza, obezwładniwszy hadesowego stróża-Cerbera. Niósł go na grzbie-

http://rcin.org.pl

cie, skrępowanego powrozem, jak głupie brzemię ujarzmione! O, hej! O, hej!

* * *

Herakles śnił, że patrzy z wieży. Na dalach widnokręgu olbrzymi las płonął czerwono, objęty pożarem gigantycznym. Po tym śnie Herakles ujrzał Omfalę. Poznał Rozkosz. Poznał Szaleństwo.

* * *

Miłość trawiła jego członki, jak jad hydry lernejskiej. Otoczył się dziwacznym przepychem. Ściany komnaty jego były z żółtego adamaszku, kolumny z drzewa hebanowego, zasłony — szmaragdowe. U podwoi z obu stron kurzyły się wonności na złotych trójnogach. Pośrodku — fontanna o muszli z czerwonego koralu. Muszlę trzymała oburącz dziewica z alabastru. Sutki jej piersi były z szafiru. Toczyły się z nich krople przezroczyste, jak łzy nieustanne.

Pod stropem — dwa łokcie niżej — ogromna sieć purpurowa o grubych okach. Za siecią — lampa w wieńcu krwawych kryształów. Gdy lampa zapłonie, latają tam ptaki nocne w rumianej łunie pożaru. Niestety! Trawiony żądzą Herakles, ustępując podszeptom złego smaku,

http://rcin.org.pl

zawiesił tam wypchane sowy i puhacze! Okna zazwyczaj zapuszczone sutemi draperjami. Rozsuwa je Herakles tylko w wieczory, kiedy księżyc świeci, bo jego światło, łamiące się na szybach zielonych, zdaje się uwikłanemu herosowi szeptem ust Omfali.

* * *

W powłóczystej pstrej szacie, z frendzlą szkarłatną u dołu i u rękawów, spędza dnie całe samotnie, a wieczory i noce z Omfalą. Cały dom jego jest pełen Omfali. Omfale snują się po komnatach. Omfale drzemią po kątach, poprzytulane, jak dobre duchy, kiedy twarz skrzydłami zasłonią. Cały strop goreje, usiany jej oczyma. Idzie milcząca pośród róż z uśmiechem na ustach naiwnych, pysznych i nieśmiałych. Duże zwierzę białe o ruchach i ciele łasicy, o wielkich i pełnych oczach szmaragdowych łasi się u jej stóp. To znów ukazuje się zraniona żądłem żmii. Krwawy, wilgotny stygmat płacze jak serce na białej dłoni. Chwieje się! Ma umierać! Widywał ją z oczyma i ramionami płonącemi lub zbyt zimną i zadumaną. Wtedy chciał krew jej rozpląsać szczęściem rozpasanem lub srogą męką! Oby jej oczy z błękitnych stały się czarnemi! Oby nie śpiewały tak tajemniczo! Oby krzy-

http://rcin.org.pl

czały! Jak promień słońca wymykała się jego rękom. Więc, choć pieściła go dłonią jak płatki róży łagodną, gniótł go ciężar posępny. Nagle wybuch ognistej tkliwości! Herakles pada u jej stóp, jak porażony strzałą Stymfalidy!

* * *

Granica między rzeczywistością a snem zatarta! Herakles widzi posadzkę komnaty, lśniącą jak wielkie niebo zwierciadlane. Na tem niebie leży Omfala w szacie szmaragdowej. Jej ramiona i piersi świecą przez tkaninę, triumfując, jak droga mleczna w obszarach Nocy! Klaszcze w dłonie! Śmieją się jej czerwone usta dziecinne. Potem zwija się gibkim ruchem i obraca plecami w górę. Opiera się na rękach. Z czarującą zalotnością pochyla się tak nisko, że szczyty jej piersi stykają się z sutkami w zwierciadle.

Gdy się to stało, Omfala zrywa się, jak ukąszona. Spostrzega Heraklesa. Wydaje okrzyk przeraźliwy. Wybiega, trzymając się za serce. Zanim zniknęła, obraca głowę. W jej oczach pali się stos syczącej nienawiści.

Herakles truchleje. Wstrząsa nim dreszcz lodowaty. Jest tak samotny w onej godzinie, że gdyby rozwarły się nad nim niebiosa, byłyby puste.

http://rcin.org.pl

Bohater spostrzega swój miecz, dar Hermesa. Leży na lśniącej posadzce. Jasną pociechą lśni brzeszczot w świetle jedynej lampy rubinowej. Herakles z zajadłą rozkoszą tnie nim powietrze. Rzuca się w stronę, gdzie za kotarą znikła Omfala.

Nagle z głębin zwierciadła wyrasta aż pod stropy olbrzymi Młot. Twarz jego jak twarz Centaura. Mży ściemnionym blaskiem i twardością kruszczu. W nieruchomych oczach wisi zimny ciężar. Usta sinieją jak stal, a włosy spadają sztywnemi drutami. Milczy, lecz niekiedy rozlega się w nim złowrogie dudnienie, niby tętent piekielnych rumaków Persefony!

Herakles, który ściął dziewięć głów hydrze lernejskiej, który mięsistemi ramiony zdławił wściekłe szyje Cerbera — teraz milczy, drży, ustępuje. Miecz z łoskotem pada na posadzkę...

* * *

— O, zbawienie — woła Herakles — jak bardzo potrzeba mi zbawienia! Utraciłem siebie! Nie godzien jestem wstąpić w siebie! Gdzież jestem? Z kim trzymam? Czym cień? Czym śmiech szyderczy? Postradałem zdolność przewidywania, przenikania i zwycięstwa! Nie wiem nic! Błądzę blado-szary...

* * *

http://rcin.org.pl

Nareszcie uciekł tam, nad morze szumne i szerokie, i oddał się rozmyślaniu. Wielkie bałwany sypały srebrem, przewalając się w zadumie. A jemu cicho tam było i uroczyście. I dopiero ta uroczysta cisza i niby dźwięk organów, głębszy, niż milczenie i jaśniejący purpurowo przy olśniewającej białości milczenia, przypomniał mu, że tu nie szedł, lecz biegł, zaiste biegł — po raz pierwszy z trwogą, jakby ścigany obłędem, jakby ze zgiełkiem i odmętem przerażenia w skroniach, że jeszcze jedna chwila, a będzie zapóźno — na wieki!

Widział człowieka w szacie białej z rękoma wzniesionemi ku niebu. Człowiekiem tym był on sam.

Człowiek ten mówił: O Duchu, wygnany z Ziemi, przyjm serce moje! Otocz je płomieniem cudów! Otwórz oczy sercu memu! Niech przejrzy zaślepione!...

* * *

...I zasłaniając oczy od blasku wspomnień, Herakles oddalił się na zawsze od domu, gdzie zostawił Omfalę.

http://rcin.org.pl

B
I B L

Akc 167/50 K

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I
583